

ISSN 2353-933X

respublica

DAJE DO MYŚLENIA

NR 1-2/2021



MEDIA I PRAWORZĄDNOŚĆ

KONOPCZYŃSKI / MROCZKOWSKI / KAŁAN / MIERZYŃSKA

Marcin Zaborowski WOLNOŚĆ ZAGROŻONA: MEDIA, PRAWORZĄDNOŚĆ, KOŚCIÓŁ _____	4
Dominika Rafalska MEDIA MUSZĄ WYJŚĆ DO LUDZI Rozmowa z Michałem Głowackim, medioznawcą _____	7
Filip Konopczyński W DUCHU ORWELLA. WOLNOŚĆ SŁOWA PO POLSKU _____	13
Bartosz Mroczkowski GIGANCI KONTRA RESZTA ŚWIATA _____	21
Dominika Rafalska REWOLUCJA CYFROWA PRZYSZŁA ZA SZYBKO Rozmowa z Bernardem Osserem, dziennikarzem AFP _____	28
Anna Mierzyńska JAK POLSKA TRACI DEMOKRACJĘ _____	33
Wojciech Przybylski SPRAWIEDLIWOŚĆ W EUROPIE POTRZEBUJE SYGNALISTÓW Rozmowa z Aliną Mungiu-Pippidi, europejską specjalistką ds. walki z korupcją _____	40
Jarosław Gwizdak SPOKOJNIE, TO TYLKO NAPAD _____	47
Dariusz Kałan CZAS ODEJŚĆ _____	53

MARCIN ZABOROWSKI

WOLNOŚĆ ZAGROŻONA: MEDIA, PRAWORZĄDNOŚĆ, KOŚCIÓŁ

Wolność słowa, rządy prawa i rozdział Kościoła od państwa to warunki funkcjonowania zdrowej demokracji.

W przeciwnym razie staje się ona farsą.

Wiedzieli o tym już ojcowie-założyciele amerykańskiej demokracji planując zasady funkcjonowania nowej republiki w drugiej połowie XVIII wieku. Te trzy fundamentalne zasady wpisano do Konstytucji USA. Na jej straży stoi Sąd Najwyższy składający się z dziewięciu nieusuwalnych sędziów, pełniących urząd dożywotnio. Praktycznie od początku funkcjonowania amerykańskiej republiki, Sąd Najwyższy interpretował wolność słowa rygorystycznie, niejednokrotnie blokując próby interwencji władz federalnych, powołujących się choćby na rację stanu (dość wspomnieć aferę Watergate). Choć skład Sądu Najwyższego często dominowali konserwatywni prawnicy, to jednak orzecznictwo dotyczące kwestii obyczajowych i religijnych konsekwentnie podkreślało świecki charakter republiki.

Te fundamentalne zasady amerykańskiej demokracji adaptowano w dalszych latach w krajach, które decydowały się na poszerzanie obszaru wolności. Po upadku komunizmu stało się tak również w Polsce i innych krajach byłego bloku wschodniego.

Dziś, po ponad trzech dekadach od końca zimnej wojny widać, że najsłabszym ogniwem nowego porządku stało się sądownictwo, które traci swoją niezależność wobec władzy wykonawczej na Węgrzech, w Polsce czy w Rumunii. Słabe, upolitycznione sądy nie będą bronić wolności mediów, które praktycznie we wszystkich krajach byłego bloku wschodniego zostały osłabione, a na Węgrzech praktycznie przestały istnieć. W Polsce dodatkowo doszło do zatarcia granicy między państwem i Kościołem katolickim, czego, raczej niespodziewaną, konsekwencją jest postępująca sekularyzacja społeczeństwa.

Problemy z wolnością nie ograniczają się bynajmniej do Europy Środkowowschodniej. Rewolucja mediów społecznościowych spowodowała kryzys tradycyjnych mediów, praktycznie na całym świecie. Radio czy telewizja poddawane są rygorystycznym regulacjom, które mają zabezpieczyć pluralizm polityczny i uniemożliwić popularyzację idei ekstremalnych i mowy nienawiści. Wiadomo oczywiście, że w praktyce te zasady nie zawsze funkcjonowały, szczególnie w młodych demokracjach Europy Środkowowschodniej. Ale media społecznościowe podlegają żadnym regulacjom, co powoduje że często przepelnia je narracja ekstremalna. Nie pozostaje to bez wpływu na politykę, którą cechuje coraz większa polaryzacja i skrajność, czego najbardziej wymownym przykładem był wybór Donalda Trumpa w na przywódcę wolnego świata w 2016 roku.

Rynek medialny ulega gwałtownym przemianom. Wraz z nim zmienia się polityka. Fundamentalne zasady wolności, które przyświecały ojcom-założycielom amerykańskiej republiki są dzisiaj otwarcie kwestionowane nie tylko przez przywódców chińskich czy rosyjskich ale również przez Trumpa, Le Pena, Salvinię czy Orbána. To, czy ich wizja państwa zwycięży, czy strefa wolności będzie progresywnie ograniczana zależy przede wszystkim od kondycji mediów oraz sądownictwa.

O tym dyskutujemy w bieżącym wydaniu „Res Publici Nowej”. O kondycji mediów w Polsce i o globalnych procesach w branży medialnej rozmawia Dominika Rafalska z medioznawcą Michałem Głowackim oraz z dziennikarzem agencyjnym Bernardem Osserem. O rządowych zakusach na zdominowanie polskiego rynku medialnego pisze Filip Konopczyński. Bartosz Mroczkowski podnosi temat rewolucji medialnej na rynku amerykańskim, na którym sześć największych firm technologicznych praktycznie dyktuje zasady funkcjonowania mediów społecznościowych.

O kurczącej się strefie wolności i wzrastającym autorytaryzmie państwa pisze Anna Mierzyńska. Jarosław Gwizdak podejmuje temat międzynarodowych konsekwencji kryzysu państwa prawa w Polsce. Natomiast Wojciech Przybylski rozmawia z Aliną Mungiu-Pippidi o korupcji i tragicznej sytuacji sądownictwa w Rumunii. Numer wieńczy reportaż Dariusza Kałana o rosnącej liczbie apostatów w polskim społeczeństwie.

MARCIN ZABOROWSKI – redaktor naczelny Res Publici Nowej, wykładowca, wcześniej dyrektor Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych

DOMINIKA RAFALSKA

MEDIA MUSZĄ WYJŚĆ DO LUDZI

rozmowa z dr. hab. Michałem Głowackim, medioznawcą.

Media społecznościowe upodmiotowiły nas – odbiorców pod względem tworzenia i dostępu do informacji, bezpośredniego kontaktu choćby z przedstawicielami świata polityki. Tylko, czy idzie to w parze ze zwiększeniem poziomu wolności słowa? W dyskusji o współczesnych mediach powinniśmy całkowicie zmienić narrację.

Będziemy rozmawiać o wolności?

Trudno prowadzić jakąkolwiek rozmowę o współczesnych mediach, czy to o ich teraźniejszości, czy przyszłości bez odwołań do kwestii wolności, różnorodności, pluralizmu i praw człowieka. Ta rozmowa będzie też zapewne dotyczyła wolności w tym sensie, że poziom niezależności mediów na świecie systematycznie zmniejsza się. Można powiedzieć – topnieje niczym lodowce. I mowa tu także o państwach, które do tej pory uchodziły za modelowe demokracje i wzory niezależnego dziennikarstwa.

Jakie to kraje?

Choćby Wielka Brytania, w której Brexit i sposób relacjonowania referendum w 2016 r. podzielił społeczeństwo. Podobnie jest w Stanach Zjednoczonych, gdzie ostatnie wybory prezydenckie pokazały pęknięcie społeczeństwa i mediów na pół. To jest globalny trend.

Z jednej strony, organizacje Freedom House czy Reporterzy bez Granic wskazują na to, że współcześnie my – obywatele mamy wiele nowych możliwości, aby obecną sytuację naprawić. Praktycznie każda instytucja, która zajmuje się badaniem zagadnień pluralizmu czy niezależnego dziennikarstwa zwraca uwagę na to, że żyjemy pod tym względem w trudnych czasach.

Wspomniani przez Ciebie Reporterzy bez Granic w *Światowym indeksie wolności prasy z 2020 r.* uplasowali Polskę na sześćdziesiątym drugim miejscu na świecie. Znaleźliśmy się pomiędzy Armenią i Seszelami. Dodajmy, że pięć lat wcześniej byliśmy w tym samym rankingu na miejscu osiemnastym...

Warto też zauważyć, że w ostatnich latach instytucje międzynarodowe monitorujące wolność słowa kwestionowały przede wszystkim regulacje i sposób działania polskich mediów publicznych.

Ale spadającą pozycję Polski wyjaśnia się również w kontekście silnych podziałów społecznych i medialnych. Polskie media zaadaptowały w bardzo dosłowny sposób zasadę „dziel i rządź”. W tym medialnym lustrze przegląda się nasze podzielone społeczeństwo. Widać to też w środowisku dziennikarskim, gdzie powstają swego rodzaju plemiona stosujące zasadę „my i oni” i wzajemnie podważające poziom profesjonalizmu. Akcja *Media bez wyboru* pokazała silne podziały zarówno z punktu widzenia polityki medialnej, jak i sympatii i antypatii przedstawicieli środowiska dziennikarzy w Polsce.

Problemem jednak jest to, że we wszystkich dyskusjach na temat mediów koncentrujemy się na ich dysfunkcji, polegającej przede wszystkim na własności lub upolitycznieniu. W Polsce w dalszym ciągu dominuje myślenie, że media to polityka oraz, że media wiedzą lepiej, czego publiczność potrzebuje i oczekuje. My jako publiczność, my – obywatele (w pewnym sensie właściciele mediów), zawsze schodzimy na dalszy plan. Nie dba się o nasze zróżnicowane potrzeby, ale o jakieś, niewidoczne gołym okiem, powiązania środowisk politycznych z mediami. Może dlatego nie skupiamy uwagi na tym, jak media mogłyby się przyczynić do realizacji naszych praw i wolności?

No właśnie, jak?

Punktem wyjścia powinna być zmiana sposobu, w jaki mówimy o wyzwaniach dla mediów w erze danych. Czy jesteśmy w stanie wyjść poza utarte schematy w których od lat funkcjonujemy? Mam niestety wrażenie, że cały czas tkwimy w przeszłości i konserwujemy myślenie sprowadzające się do relacji: aktywny nadawca *versus* pasywny odbiorca. Jesteśmy również opóźnieni w sposobie myślenia o nowych strukturach organizacyjnych mediów i otwierania się na nowe możliwości i pomysły.

Choćby pandemia COVID-19 w wielu krajach pokazała, że nie wystarczy, że media publiczne będą realizować misję edukacyjną poprzez transmisję audycji i programów. To jest czas na znacznie większe zaangażowanie. Chodzi m.in. o promocję zachowań prozdrowotnych, przeciwdziałanie zmianom klimatycznym i stałe budowanie świadomości w zakresie zrównoważonego rozwoju... Jednym z największych problemów mediów jest mówienie o nich tylko w kontekście oferowanych treści. Brakuje mądrej debaty o roli społecznej bliskości, odpowiedzialności i zaangażowania dla wspólnego dobra.

Chodzi zatem o przedefiniowanie misji mediów, zwłaszcza publicznych i dostosowanie ich do prawdziwych wyzwań współczesności?

Mam tu na myśli większą otwartość na lokalną społeczność, bliski kontakt mediów z obywatelami. Tak, jak to się dzieje w przypadku instytucji kultury, działalności lokalnych teatrów czy oddolnych inicjatyw społecznych. Chodzi o dostrzeżenie potencjału dla rozwoju tkanki miejskiej bez dzielenia ludzi na prawicowych, lewicowych, pro czy anty LGBT, postkomunistów, itd. Wszędzie tam, gdzie pojawia się otwartość, udaje się nie tylko promować wydarzenia kulturalne czy ważne debaty, ale przede wszystkim budować i scalać społeczność. Prędzej czy później, każda firma będzie musiała zająć się zrównoważonym rozwojem i społeczną odpowiedzialnością. Dla mediów to jeden ze scenariuszy rozwoju w kolejnych latach.

Czasy klasycznego modelu mediów masowych minęły bezpowrotnie. Tymczasem współczesne media są jak fortece, do których nie zaprasza się publiczności, chyba że w charakterze milczącej widowni w jakimś teleturnieju lub *talk show*. A młode pokolenia

korzystają z mediów inaczej. Wystarczy spojrzeć, w jakim kierunku rozwijają się w tym samym czasie np. wspólne przestrzenie kreatywne czy *co-workingowe*. W Polsce żyje blisko 38 milionów ludzi. Wyobraźmy sobie, ilu jest wśród nich kreatywnych, tworzących np. nowoczesne aplikacje albo projekty kulturalne na temat mniejszości etnicznych, kulturowych itd. Wszystkie one mogłyby powstawać pod auspicjami mediów publicznych. W Austrii, Belgii, Szwecji i Holandii media publiczne otwierają się na współpracę ze *start-upami* w zakresie zaawansowanych technologii. We flamandzkich mediach wyodrębniono komórkę, w ramach której osoby, które mają ciekawy, innowacyjny pomysł poszerzający zakres misji publicznej, mogą tę przestrzeń wykorzystywać stając się współtwórcami mediów. Wszystko to sprowadza się do skracania dystansu i zacierania granicy między przysłowiową sceną a publicznością.

Skracanie dystansu to jednak chyba także zagrożenia? Patrząc z drugiej strony, jakie my – odbiorcy mamy kompetencje aby tworzyć wartościowe materiały dla mediów?

Każda nowa idea wiąże się z zagrożeniami. Niewystarczające kompetencje to tylko jedno z nich. Inne to np. celowe dezinformowanie, szerzenie *fake newsów*, hejt... Dlatego twierdzę, że powinien istnieć społeczny system kontroli. Specjalne konsorcja z udziałem przedstawicieli publiczności mogłyby czuwać nad tym, czy dany projekt wpisuje się w misję publiczną, czy dana zawartość nikogo nie obraża, nie godzi np. w prawa człowieka. Nie można zakładać, że wszystko co się pojawia w internecie będzie zgodne z prawem i będzie miało wysoki poziom...

Odnoszę wręcz wrażenie, że wyłowienie tego, co wartościowe w internecie czy mediach społecznościowych wymaga wiedzy, kompetencji i dużej wrażliwości.

Co więcej, pewne informacje wylawiają tam dla nas algorytmy. Żyjemy w bańkach informacyjnych.

Rozmawiamy o tym, że tzw. stare media nie są gwarantem wolnego słowa. Ale algorytmy w mediach społecznościowych nie kojarzą mi się specjalnie z poszerzeniem pola wolności...

Zgadzam się, dlatego myślę, że odpowiedzią na postępującą technologiczną czwartą rewolucję powinien być właśnie powrót do ludzi. Wszystko, co powstaje w mediach społecznościowych to kreacja. Choćby konta osób, które śledzą miliony użytkowników. Jak wielki jest ich wpływ na publiczność...

Także na dzieci. Dzisiejsi nastolatki, a nawet jeszcze młodsze dzieci mają tam swoich idoli. Niewinnie wyglądające spotkanie na żywo czy „filmik” w sieci to często biznes: lokowanie produktów, promocja... Dzieci, które odbierają te treści nie rozumieją tego.

Tak, nie mówiąc o tym, że zapewne znają te platformy lepiej od nas. To są pokolenia, które będą tworzyć media w przyszłości.

Już to robią. Dziesięcioletki mają swoje kanały w internecie. Nieważna jest przy tym dla nich jakość czy treść, którą nadają a to, ile osób ich obserwuje, „lubi” czy subskrybuje.

Dodajmy do tego, że idzie za tym uzależnienie młodych ludzi od tych mediów. Istnieją już badania na temat lęku przed przegapieniem czegoś w sieci (*fear of missing out*). Wraz z nowymi możliwościami w świecie mediów pojawiają się realne zagrożenia i dlatego powtarzam: warto wrócić do człowieka, nawiązać z nim bezpośredni kontakt...

Na czym powinno opierać się zwrócenie się mediów ku człowiekowi?

Na podstawowych wartościach: tolerancji, empatii, szacunku dla różnorodności... Warto stawiać pytania o to, jak media mogą się przyczynić do procesów rewitalizacji, poprawienia jakości życia mieszkańców danej dzielnicy, organizacji wspólnych inicjatyw, które będą łączyły tę społeczność. Dlaczego nie zająć się organizacją lokalnych wydarzeń w zakresie edukacji medialnej, promocji regionalnej kultury, pokazywania różnorodności językowej, kulturowej? Może brzmi to jak *science fiction*, ale jestem w stanie sobie to wyobrazić. Wymaga to na pewno dużych zmian w sposobie myślenia, społecznej zgody i wsparcia ze strony krajowych, i lokalnych władz.

Rzeczywiście chodzi o polityków czy raczej o zmianę pokoleniową?

Ciekawym przykładem jest tu Estonia, dziś flagowy przykład kraju, w którym nowe technologie przekształcono w podstawową gałąź gospodarki. W Estonii głosuje się przez internet, każdy może być jej e-obywatelem. W tej chwili to jedno z najbardziej zaawansowanych społeczeństw cyfrowych. Ale z drugiej strony, stare media publiczne są tam uwikłane w siły polityczne. To dwa światy, a przepaść między nimi jest z roku na rok coraz większa.

Patrząc na Polskę, można nakreślić kilka scenariuszy. Pierwszy to próba reform podejmowanych małymi krokami. W tym kierunku rozwija się BBC, czy media publiczne w Kanadzie, jednak mają one już dawno za sobą rewolucję cyfrową i wkraczają w erę maszyn i danych. W Stanach Zjednoczonych media publiczne wdrażają z sukcesem strategię wspierania lokalnych społeczności. W Polsce – w zależności od barw politycznych – mówi się albo o konserwowaniu starych systemów organizacyjnych lub o likwidacji mediów publicznych. Dostosowanie mediów do nowej ery to zadanie dla polityków. To oni muszą dopasować regulacje tak, aby scenariusz polegający na zwrocie w stronę obywatela mógł się dokonać.

MICHAŁ GŁOWACKI – pracownik naukowy Uniwersytetu Warszawskiego. Doktor habilitowany nauk społecznych w dyscyplinie nauk o mediach. W pracy naukowej zajmuje się polityką medialną, mediami publicznymi, systemami odpowiedzialności mediów i kulturą innowacji. Redaktor naczelny czasopisma „Central European Journal of Communication”.

DOMINIKA RAFALSKA – doktor nauk humanistycznych, absolwentka enologii na UJ, dziennikarka, redaktorka, badaczka historii najnowszej. Sekretarz redakcji „Res Publici Nowej”.

FILIP KONOPCZYŃSKI

W DUCHU ORWELLA. WOLNOŚĆ SŁOWA PO POLSKU

Projekt ustawy o wolności słowa w mediach społecznościowych wprowadza przepisy niebezpieczne nawet dla zwykłych internautów. Co czeka polski internet po rządowej reformie?

Niedługo po tym, jak Komisja Europejska opublikowała projekty *Aktu o usługach cyfrowych* oraz *Aktu o rynkach cyfrowych*, na własną ofensywę legislacyjną wymierzoną w globalne platformy społecznościowe zdecydował się także polski rząd.

Projekt nosi nazwę „ustawy o ochronie wolności słowa w internetowych serwisach społecznościowych” i, według zapowiedzi, parlament wdroży go w najbliższych miesiącach. Biorąc pod uwagę antyunijną narrację Prawa i Sprawiedliwości może wydawać się to paradoksalne, ale projekt polskiej ustawy w większości wpisuje się w kierunek wyznaczony przez Brukselę. Jednak pomimo wielu podobieństw, to różnice mogą przesądzić o jego skutkach. Motywacje polityczne, a także ukryty w tekście zestaw narzędzi prawnych niemal na pewno przyniosą rezultaty, które w sposób głęboki odbiegają od intencji europejskiego establishmentu.

Projekt ustawy powstał w, kierowanym przez Zbigniewa Ziobrę, Ministerstwie Sprawiedliwości i jest odpowiedzią na obawy prawicy na działania Facebooka i Twittera w zakresie wolności słowa na ich platformach. A konkretnie na zarzuty, że firmy te coraz częściej stosują cenzurę. To, co przelało czarę goryczy to „ban” w mediach społecznościowych nałożony po zamieszkach na Kapitolu na Donalda Trumpa. Ta decyzja dla wielu musiała być jak spojrzenie w szklaną kulę przyszłości, w której konserwatywna polityka uprawiana w formie skrajnych i prowokacyjnych wypowiedzi jest po prostu zabroniona. Współczesna zachodnia prawica jest bardzo wrażliwa na zjawisko tak zwanej kultury anulowania. Oburzeni internauci zwykle gromadzą się wokół postaci, które w taki czy inny sposób zostały zablokowane przed pełnym dostępem do platform społecznościowych.

CZEGO BOI SIĘ PRAWICA?

Oburzenie konserwatystów ma swoje korzenie w zmianach polityki globalnych firm technologicznych, ale usuwanie postów w mediach społecznościowych i użytkowników dotarło także do Polski. I to z przytupem. W listopadzie 2020 r. Facebook usunął *fanpage* Janusza Korwin-Mikkego, kultowego trolla i prowokatora, byłego posła do Parlamentu Europejskiego, a dziś przedstawiciela skrajnie prawicowej Konfederacji. Choć dla osób, które nie są fanami JKM decyzja serwisu Zuckerberga nie była niespodzianką – w porównaniu ze słownymi wybrykami Korwina, Donald Trump wygląda na dojrzałego i odpowiedzialnego męża stanu – decyzja platformy była niezwykle istotna i pod wieloma względami przełomowa. W końcu, prywatna firma usunęła główny kanał komunikacji z wyborcami najpopularniejszego polskiego polityka na Facebooku. Decyzja miała charakter w pełni arbitralny – nikt i nic nie mógł na nią poradzić.

Jak na ironię, polska prawica nigdy nie była, mówiąc delikatnie, wielkim fanem nieocenzurowanej mowy. Do dziś często organizuje kampanie przeciwko tzw. polonofobom, bluźniercom czy zdrajcom wywodzącym się z nieprawicowego społeczeństwa obywatelskiego, mediów czy środowiska akademickiego. Niezależnie od tego, w ostatnich latach pochodzące głównie z amerykańskich i brytyjskich źródeł tyrady polityków i komentatorów utyskujących na tyranię cyfrowych gigantów padły w Polsce

na podatny grunt. To właśnie ten sentyment skłonił środowisko „Gazety Polskiej” do sfinansowania własnej wersji Facebooka pod tajemniczą nazwą „Albicla”. Jej los niech posłuży za moral: ze względu na amatorskie wykonanie i nadętą kampanię reklamową szybko stała się tematem kpin i zmasowanych ataków trolli. Żarty użytkowników (wielu z nich na zdjęcia profilowe ustawiało sobie wizerunki Jana Pawła II) niemal natychmiast doprowadziły administratorów do... całkowitego zawieszenia możliwości komentowania postów innych osób. Tyle o „prawicowej wolności słowa”.

Ponieważ stworzenie udanej konkurencji dla Facebooka i Twittera przekracza to, co dla dzisiejszej, nie tylko polskiej prawicy jest wykonalne, partia rządząca (a w zasadzie jej mniejszościowy koalicjant – Solidarna Polska) skierowała swoje siły ku środkom legislacyjnym. Czas wydaje się jak najbardziej odpowiedni. Debata na temat regulacji największych firm technologicznych osiągnęła w Europie i na świecie punkt krytyczny. Świadczy o tym nie tylko sytuacja w USA z końca kadencji Trumpa, ale także niedawny bunt Facebooka w Australii, w której to na kilka dni firma zablokowała możliwość publikowania jakichkolwiek treści zawierających odnośniki do mediów.

RADA WOLNOŚCI SŁOWA

Nowa propozycja PiS wykazuje wiele podobieństw do europejskiego *Aktu o usługach cyfrowych*. Zobowiązuje główne platformy mediów społecznościowych do standaryzacji, monitorowania i zgłaszania administracji publicznej skarg na swoje decyzje dotyczące usuwania treści i profili użytkowników. Platformy będą również musiały wyznaczyć przedstawicieli prawnych, których rolą będzie udział w postępowaniach administracyjnych i sądowych oraz współpracować z urzędnikami w zakresie rozpatrywania skarg. Wszystko po to, aby ograniczyć arbitralność firm takich jak Facebook w podejmowaniu decyzji o tym, co wolno, a czego nie wolno publikować na ich cyfrowym terenie.

Główną innowacją, którą wprowadza projekt, jest powołanie nowej instytucji nadzorującej i kontrolującej platformy cyfrowe. W przypadku negatywnego rozstrzygnięcia przez Facebook, Twitter czy Instagram sporów o usunięcie wpisu lub blokadę konta, indywidualną sprawę rozstrzygać ma Rada Wolności Słowa. Jej

członkowie byliby wybierani przez Sejm na sześcioletnią kadencję spośród kandydatów z wykształceniem prawniczym, językoznawczym lub informatycznym i mogliby podejmować ostateczne decyzje w poszczególnych sprawach. Natomiast obowiązki biurokratyczne byłyby delegowane do Urzędu Komunikacji Elektronicznej – organu rządowego, którego szef jest powoływany zarówno przez Prezesa Rady Ministrów, jak i przez Sejm. Czyli w praktyce partię rządzącą.

Władza, jaką Rada miałaby nad platformami mediów społecznościowych, byłaby daleka od symbolicznej. Zgodnie z projektem, maksymalna kara, jaką organ może nałożyć za naruszenie wolności słowa, wynosi około 12 mln euro (50 mln zł). To kwota, która robi różnicę w arkuszach kalkulacyjnych firm, nawet tak dużych jak Facebook, który w 2020 r. osiągnął łączny przychód na poziomie prawie 520 mln zł. Werdykt Rady będzie ostateczny, ale zarówno platformy, jak i użytkownicy będą mogli odwołać się do sądu. Oto kolejny ważny szczegół: odwołania rozpatrywać będą sędziowie administracyjni, a nie sądy cywilne. Sądy administracyjne z zasady rozpatrują spory między administracją a obywatelami i mają bardziej sformalizowany charakter.

JAK U ORWELLA?

Nie wszystko i wszyscy byliby jednak objęci ochroną Rady. Protekcja nie obejmowałaby przypadków, które według kodeksu karnego i kodeksu wykroczeń stanowią czyny nielegalne w rozumieniu polskiego prawa. Wręcz przeciwnie, w takich sytuacjach prokuratura mogłaby zażądać i uzyskać informacje na temat tożsamości użytkownika, któremu zarzuca się przestępstwo lub wykroczenie. Lista obejmuje katalog działań, które nie budzą specjalnych wątpliwości, np.: terroryzm i pedofilia, zdrada, szpiegostwo, handel ludźmi, wywoływanie lub podżeganie do wojny czy przemocy wobec instytucji publicznych i urzędników bądź nękanie. Jednak lista zawiera inne działania, które wciąż budzą kontrowersje. Chodzi w szczególności o zniesławienie Polski i narodu polskiego, propagowanie symboli totalitarnych, profanację symboli narodowych, znieważanie (albo usuwanie) godła czy obrazę uczuć religijnych.

Przepis ten, schowany w przepisach proceduralnych, może w rzeczywistości być najpoważniejszą konsekwencją nowej ustawy. Platformy społecznościowe są co prawda

zobowiązane do współpracy z polskimi władzami, ale dotychczas starały się, aby ten proces miał przynajmniej pozory rzetelności, a decyzja na ogół wymaga zgody sądu. W nowym akcie logika jest odwrócona: prokuratura ma prawo domagać się informacji od właścicieli platform, a ci ostatni mogą co najwyżej złożyć zażalenie do sądu. Jeśli ustawa zostanie uchwalona, powstanie podstawa prawna do niemal automatycznej współpracy między platformami a prokuraturą w przypadkach potencjalnych przestępstw, takich jak np. umieszczanie memów politycznych, komiksów krytycznych czy prowadzenie gorącej polemiki w internecie. Brzmi absurdalnie? Niestety, nie w przypadku współczesnej Polski, gdzie aktywiści są ścigani m.in. za publikowanie wizerunku „tęczowej Maryi”. Fakt, że Zbigniew Ziobro jest jednocześnie zwolennikiem nowej ustawy, szefem prokuratury i nadzorcą sędziów musi budzić niepokój. W świetle tego, nazwanie nowego ciała „Radą Wolności Słowa” brzmi istic orwellowsko.

PLAN EUROPEJSKI

Nowe regulacje należy analizować w świetle całokształtu polityki PiS wobec mediów. Na krótko przed ustawą o „wolności słowa”, państwowy Orlen przejął grupę medialną Polska Press. Kilkadziesiąt dni później debata publiczna skupiła się z kolei wokół propozycji nowego podatku od reklam, który był kolejnym krokiem w kierunku zdobycia dominacji nad polską (tym razem cyfrową) sferą medialną.

Co się stanie, jeśli prawo zostanie uchwalone? Polski rząd będzie dysponował nowymi, skutecznymi narzędziami do kształtowania pola gry, na którym toczy się demokratyczna debata. W przypadku nowej ustawy, ewentualny sukces będzie podwójny. Po pierwsze, pozwoli zbudować wizerunek obrońcy zwolenników prawicy przed blokadami korzystania z najpopularniejszych platform społecznościowych i komunikacyjnych. Po drugie, uzyska bezpośredni i prosty dostęp do tożsamości i danych osobowych ich użytkowników.

Zakładając, że regulacja ta ostatecznie wejdzie w życie PiS uzyska realną możliwość skutecznej obrony swoich sympatyków oraz dręczenia przeciwników bez bezpośredniego łamania przepisów na poziomie polskim, europejskim czy międzynarodowym. Nowa sytuacja będzie wyzwaniem nie tylko dla idei wspólnych

wartości europejskich, ale także dla samego sedna filozofii integracji europejskiej z ostatnich dekad. Choć w tradycyjnej interpretacji, traktaty europejskie nie pozwalają instytucjom unijnym regulować kwestii związanych m.in. z zakresem i stosowaniem wolności słowa, to takie postanowienia obowiązują Polskę na podstawie innego traktatu międzynarodowego – Europejskiej Konwencji Praw Człowieka, której Polska jest stroną. Problem w tym, że w przeciwieństwie do Unii, orzeczeń Konwencji nie można egzekwować bezpośrednio.

Z kolei na poziomie unijnym, kwestia ochrony wolności słowa jest przedmiotem prawnych i politycznych kontrowersji. W ostatniej dekadzie instytucje unijne zmierzały w kierunku modelu, w którym podstawowe prawa człowieka i obywatela powinny bezpośrednio obowiązywać w państwach członkowskich. Karta Praw Podstawowych Unii Europejskiej w artykule 1 stanowi, że „1. Każdy ma prawo do wolności wypowiedzi. Prawo to obejmuje wolność posiadania poglądów oraz otrzymywania i przekazywania informacji i idei bez ingerencji władz publicznych i bez względu na granice państwowe”. Szkopuł w tym, że kolejne rządy Prawa i Sprawiedliwości sprzeciwiały się bezpośredniemu stosowaniu karty w naszym kraju, czego wyrazem jest tzw. protokół brytyjsko-polski. Jednak po Brexicie wydaje się, że niezależnie od prawnych sporów, postanowienia Karty na dobre weszły w DNA Unii i coraz ciężiej będzie władzom w Warszawie unikać ich obowiązywania.

Nie jest również jasne, jak nowe polskie przepisy wpłyną na realizację europejskiego planu działania na rzecz demokracji, czyli polityki ogłoszonej przez Věre Jourovą, komisarz ds. sprawiedliwości w celu ochrony wolności politycznych obywateli Unii Europejskiej. Plan ma być odpowiedzią na zagrożenia cyfrową dezinformacją, manipulacją wyborczą czy cenzurą mediów tradycyjnych i internetowych. Ma również przeciwdziałać tzw. mowie nienawiści, czyli kategorii często używanej przez środowiska lewicowe i liberalne do określenia nie tylko bezpośrednich gróźb i aktów agresji, ale także słów o charakterze dyskryminującym, obelżywych, stereotypów, obraźliwego czy nawet niedelikatnego języka używanego wobec grup lub osób. Nie sposób sobie wyobrazić, aby rząd Zjednoczonej Prawicy faktycznie chciał reformować język polskiego internetu w kierunku większej inkluzywności. Wręcz przeciwnie – ten sam

zestaw narzędzi prawnych zostanie prawdopodobnie użyty dla zachowania prawa do używania języka, który UE chce wykorzystać.

Niestety, udostępnione na stronach Komisji Europejskiej dokumenty dotyczące szczegółów planu nie dają bezpośrednich odpowiedzi na problemy, które bez wątpienia pojawiłyby się po tym, jak polska ustawa weszłaby w życie. Najbardziej optymistyczną perspektywą z punktu widzenia polityków, dziennikarzy, aktywistów czy obywateli, którzy nie popierają Zjednoczonej Prawicy jest to, że decyzje Rady po pokonaniu ścieżki sądowej w Polsce będą mogły ostatecznie trafić przed Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej. To jednak marna pociecha: taka procedura trwa przecież latami, co jest szczególnie dotkliwe jeśli weźmie się pod uwagę to, że tempo polityki w erze cyfrowej stale przyspiesza.

CO DALEJ?

Co mogłoby pokrzyżować plany rządu? Jak zwykle w przypadku gospodarki cyfrowej, realny wpływ mają dwie grupy aktorów: Stany Zjednoczone oraz międzynarodowe korporacje.

W przypadku tzw. podatku od reklam, po jednoznacznie potępiającej wypowiedzi rzecznika Departamentu Stanu USA Neda Price'a na początku lutego 2021 r. pomysł trafił do tymczasowej „zamrażarki”. Teoretycznie, podobnie mogłoby stać się także z ustawą o „wolności słowa”. Jednak w tej sytuacji brakuje liczących się beneficjentów porzucenia przez PiS swoich planów. Największe media i firmy prywatne mają przecież swoich prawników oraz stosują praktyki, które chronią je przed publikowaniem potencjalnie niewygodnych dla władzy treści. Takiego wsparcia pozbawieni są natomiast zwykli obywatele. To właśnie oni – aktywiści, komentatorzy, działacze społeczni czy, choć w mniejszym stopniu, politycy będą najbardziej zagrożeni, jeśli nowe prawo faktycznie wejdzie w życie.

Istnieje również możliwość, że problem zostanie rozwiązany technokratycznie. Pod koniec 2020 r. Mark Zuckerberg ogłosił, że rozważa odpolitycznienie Facebooka. Taki scenariusz oznaczałby, że algorytmy serwisu rzadziej pokazywałyby nam treści publikowane przez partie polityczne i polityków. Paradoksalnie to również byłaby forma

cenzury, jednak bardziej „sprawiedliwa”, bo niezależna od preferencji politycznych czy ideologii. Dziś nie sposób przewidzieć, jakie skutki wywołałaby tak radykalna zmiana. Nie ulega jednak wątpliwości, że władza, którą obecnie nad polityką w krajach demokratycznych mają platformy takie jak Facebook czy Twitter jest ogromna i nie sposób sądzić, że w najbliższym czasie miałyby się to zmienić. To ważna informacja przede wszystkim dla instytucji europejskich: w erze cyfrowej nieprecyzyjne regulacje są prawie tak samo złe, jak ich całkowity brak.

Oryginalny artykuł ukazał się w języku angielskim w „Visegrad Insight”.

FILIP KONOPCZYŃSKI – członek Zarządu Fundacji Kaleckiego, absolwent prawa i antropologii kulturowej w ramach MISH UW. Współpracował m.in. z Biurem Rzecznika Praw Obywatelskich, Naukowej i Akademickiej Sieci Komputerowej czy OKO.PRESS. Publikował m.in. w „Gazecie Wyborczej”, „Polityce”, „Krytyce Politycznej”, „Przekroju”, „Kulturze Liberalnej”, „Kontakcie”, „Kulturze Współczesnej”.

BARTOSZ MROCZKOWSKI

GIGANCI KONTRA RESZTA ŚWIATA

Jeśli media to tzw. czwarta władza, co można powiedzieć o mediach społecznościowych, w których treści dobiera użytkownikom algorytm na podstawie obserwacji ich preferencji i zainteresowań?

Podczas gdy w Europie trwa batalia o opodatkowanie największych mediów społecznościowych, w Stanach Zjednoczonych spór o regulacje w tym zakresie jest znacznie szerszy. Dotyczy nie tylko platform, na których funkcjonują te serwisy, ale także algorytmów, kwestii wolności słowa, lobbingu, jednorodnego przekazu ideologicznego i wielu innych zagadnień.

Kwestie opodatkowania w sposób szczególny podkreślają politycy i media w czasie kampanii wyborczych. Ostatnio jednak amerykańscy politycy, dziennikarze i eksperci, podchodzą do problemu całościowo. Największymi wyzwaniem, przed którymi stoją ustawodawcy w USA są kwestie prywatności, wolności słowa i monopolu na rynku technologicznym. Tajemnicą poliszynela jest fakt, że praktycznie każda firma z Doliny Krzemowej prędzej czy później, będzie używać produktów wielkiej czwórki, czyli koncernów Google, Apple, Facebook, Amazon (GAFA). To właśnie GAFA jest największym posiadaczem wrażliwych danych osobowych, kart kredytowych i informacji o zachowaniach konsumenckich w Stanach Zjednoczonych. Aby jednak zrozumieć, z czym muszą zmierzyć się politycy, trzeba pojąć, czym są te cztery giganty

technologiczne i jaki mają wpływ na gospodarkę, przyszłość i rozwój Stanów Zjednoczonych.

WIELKA CZWÓRKA

W 2016 r. 64 proc. amerykańskich gospodarstw domowych posiadało konto na Amazon Prime. W tym samym roku, niemal połowa wzrostu gospodarczego online i 21 proc. wzrostu handlu detalicznego wiązała się z działalnością firmy Amazon. Te liczby wciąż rosną, w czasie pandemii wzrosły jeszcze bardziej. Aby zrozumieć skalę, warto sobie uświadomić, że każdego dnia cztery samoloty Boeing 767 wypełnione dobrami konsumenckimi, startują z Tracy w Kalifornii w drodze do Stockton, gdzie znajduje się magazyn Amazona o powierzchni ok. 92 tysięcy metrów kwadratowych. Dla porównania, największa sieć handlu detalicznego w USA – Walmart dopiero od niedawna posiada własną flotę lotniczą. Wraz z rozwojem technologicznym, Amazon podpisał kontrakt z amerykańską agencją wywiadowczą CIA na stworzenie wirtualnej chmury, w której przetrzymuje ona wrażliwe dla bezpieczeństwa państwa dane.

Z kolei Apple od początku swojego istnienia zgromadził kapitał większy niż PKB Danii i kapitał rynkowy Boeinga, Airbusa i Nike razem wziętych. Jest producentem luksusowych telefonów komórkowych iPhone, oprogramowania, laptopów, twórcą nowych technologii w zakresie pojazdów autonomicznych, a od kilku lat Apple TV stanowi konkurencję dla Netflixu.

Google jest twórcą oprogramowania Android dla telefonów komórkowych i laptopów, liderem internetowych wyszukiwarek, twórcą tak znanych aplikacji jak Google Maps i Gmail. Podobnie jak Apple, pracuje nad pojazdami autonomicznymi, a od kilku lat prowadzi zaawansowane badania w produkcji komputerów kwantowych.

Facebook jest liderem na rynku technologii pod względem zbierania danych o swoich użytkownikach i zachowaniach konsumenckich. Mając ok. 2,7 miliarda aktywnych użytkowników miesięcznie, jest najpopularniejszą siecią społecznościową na świecie. Na rynku w USA odpowiada za ponad 60,5 proc. miesięcznych wizyt w mediach społecznościowych. Atrakcyjność Facebooka opiera się nie tylko na platformie społecznościowej, ale także na jego silnej integracji z urządzeniami mobilnymi i

możliwościach przesyłania wiadomości. Facebook Messenger, który powstał w 2011 r. jako samodzielny komunikator jest jedną z najpopularniejszych aplikacji mobilnych na świecie.

To tylko krótki opis tego, jak ważni dla amerykańskich interesów i dla amerykańskiej gospodarki są ci czterej giganci technologiczni. Dodajmy też, że według oberlo.com, spośród sześciu najpopularniejszych platform mediów społecznościowych: Facebook, YouTube, WhatsApp, Facebook Messenger, WeChat i Instagram, aż pięć z nich należy do Amerykanów, a chiński WeChat jest niedostępny na terenie Unii Europejskiej i Stanów Zjednoczonych.

Debata na temat regulacji w mediach społecznościowych trwa w zasadzie od wyboru Donalda Trumpa na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Wówczas pojawiły się informacje jakoby Rosjanie za pomocą Facebooka, Twittera i YouTube'a rozsiewali nieprawdziwe informacje na temat Hillary Clinton. Wykorzystywano formułę hate speech, aby pokazywać reprezentantkę Partii Demokratycznej w niekorzystnym świetle. Po burzliwej debacie w amerykańskich mediach, firmy te same podjęły kroki i dziś zakazują postów gloryfikujących lub zachęcających np. do przemocy, treści o charakterze seksualnym czy zawierających, szeroko rozumianą, mowę nienawiści.

Jednak liczba postów, które łamią wewnętrzne regulaminy w mediach społecznościowych stale rośnie. Dla przykładu, w 2020 r., Facebook usunął treści określone jako „spam” aż 3,3 miliarda razy, natomiast YouTube – 5,5 miliona. Problem jak zwykle tkwi w szczegółach. Według republikanów, media społecznościowe faworyzują narracje lewicowe i często blokują lub kasują treści o charakterze konserwatywnym. Badania przeprowadzone przez Pew Research Center w czerwcu 2020 r. wykazały, że około trzy czwarte dorosłych Amerykanów twierdzi, że jest bardzo (37 proc.) lub całkiem (36 proc.) prawdopodobne, że serwisy społecznościowe celowo cenzurują poglądy polityczne, które ich zdaniem budzą zastrzeżenia. Zaledwie 25 proc. uważa, że jest to mało prawdopodobne. Większość w obu największych partiach uważa, że cenzura prawdopodobnie ma miejsce, ale przekonanie to jest szczególnie powszechne – i rośnie – wśród przedstawicieli Partii Republikańskiej. Dziewięciu na dziesięciu republikanów i niezależnych, którzy skłaniają się ku programowi tej partii,

twierdzi, że jest przynajmniej prawdopodobne, że platformy mediów społecznościowych cenzurują poglądy polityczne, które uznają za nieodpowiednie.

EKSPERYMENT

Posiadanie informacji o użytkowniku: jego zachowaniach konsumenckich, wiedza o tym, co go interesuje, jakich dokonuje zakupów w internecie, gdzie przebywa, gdzie podróżuje, dostęp do jego maili to ogromna baza danych, którą wykorzystują firmy technologiczne. Politycy zaczęli obawiać się nawet tego, czy Google lub Facebook mogą wpływać na wybór prezydenta Stanów Zjednoczonych. Utworzyły one bowiem algorytm, który, na podstawie posiadanych danych, przedstawia użytkownikom sugerowane linki. W przypadku zakupów widać to w postaci reklam, które zaczynają się ukazywać np. po odwiedzeniu jednego ze sklepów internetowych. YouTube czy Facebook dobierają reklamy indywidualnie do użytkownika, jednak ten sam algorytm sugeruje im także odpowiednie treści. Jeśli zatem konserwatywny wyborca odwiedzał strony o konserwatywnych treściach, to Facebook i YouTube będzie sugerował mu artykuły i filmy o podobnej tematyce. Z czasem może to powodować radykalizację poglądów.

W marcu 2013 r. na łamach „Washington Post” ukazał się artykuł opisujący badania psychologa dr. Roberta Epsteina. Według nich, Facebook i Google mogą wpływać na preferencje Amerykanów w wyborach prezydenckich. Doświadczenie przeprowadzono na grupie Amerykanów, określanych mianem „wyborców niezdecydowanych”. Tematem były wybory prezydenckie w Australii w 2010 r. Przedstawiono im krótkie informacje na temat dwóch kandydatów: Tony’ego Abbota i Julii Gillard i zapytano o to, kogo bardziej lubią i na kogo by zagłosowali. Biorący udział w eksperymencie musieli sami poszukać informacji na temat kandydatów w internecie. Na potrzeby badania stworzono specjalny silnik wyszukiwań – Kadoodle. Wyszukiwał on pięć zakładek, po sześć stron na każdą z nich. Strony internetowe były autentyczne i kierowały do prawdziwych artykułów. Silnik wyszukiwania ustawiono jednak tak, aby wskazywał pozytywne artykuły na temat Abbota. Rezultatem było przesunięcie się aż 48 proc. badanych, którzy w pierwszym etapie badania głosowaliby na Gillard.

Eksperyment powtarzano wielokrotnie i za każdym razem, w zależności od informacji podawanych przez wyszukiwarkę, blisko połowa badanej grupy zmienia swoją decyzję.

Autor artykułu – Craig Timberg, powołując się na opinie środowiska prawników zauważa, że rankingi wyszukiwarek są objęte ochroną wolności słowa zawartą w pierwszej poprawce do Konstytucji Stanów Zjednoczonych. Jednak nawet ci, którzy uważają, że wyszukiwarki mogą mieć silny wpływ na wybory, różnią się co do tego, jaki rodzaj regulacji, jeśli w ogóle, byłby rozsądny i skuteczny. Nie jest nawet jasne, która agencja federalna miałaby uprawnienia do prowadzenia dochodzeń w sprawie zarzutów i nadużyć.

LOBBING

Po debacie społecznej, ostatnim etapem jest przygotowanie odpowiedniego prawa. Ani w Kongresie ani w Senacie nie istnieje agenda głosowania nad konkretną ustawą, ale prace w poszczególnych komisjach trwają. Prawo w zakresie regulacji i opodatkowania mediów społecznościowych jest bowiem bardzo skomplikowane. Głównie dlatego, że GAFA stworzyła własne regulacje i obostrzenia. Rząd federalny ma ograniczone możliwości z wyjątkiem sekcji 230 ustawy Communications Decency Act (CDA) i sekcji 512 ustawy Digital Millennium Copyright Act (DMCA). Przepisy te umożliwiają funkcjonowanie internetu, umożliwiając każdemu publikowanie w nim treści oraz zapewniając właścicielom serwerów ochronę przed odpowiedzialnością za strony internetowe i aplikacje, aby umożliwić im usuwanie lub moderowanie nieodpowiednich treści. W innym przypadku firmy te mogłyby zostać pociągnięte do odpowiedzialności prawnej za wszystko, co udostępniają użytkownicy i byłyby narażone na ryzyko prawne w związku z egzekwowaniem standardów wspólnotowych lub dobrowolnym ograniczaniem dostępu do nieodpowiednich lub nielegalnych treści lub ich usuwanie. Jednak i tutaj GAFA nie pozostaje bierna. Przedstawiciele wielkiej czwórki biorą czynny udział w pracach nad ustawami za pośrednictwem grup lobbingowych. W 2020 r., w którym amerykańscy urzędnicy byli zajęci głównie pandemią, GAFA wydała na lobbing łącznie 53 905 000 dol. (dla porównania, w 2019 r. suma ta wynosiła 47 021 000 dol., a w 2018 r. – 55 550 000 dol.). Reprezentujący ich lobbyści pracują nad setkami spraw i ustaw.

Przedstawiciele GAFAs zasiadają w różnych instytucjach zajmujących się tworzeniem prawa. Google ma swoich lobbystów w siedemnastu agencjach rządowych, Apple w dwudziestu, Facebook w dwudziestu jeden, a Amazon w trzydziestu dziewięciu, w tym w Departamentach: Rolnictwa, Obrony, Spraw Wewnętrznych, Skarbu, Stanu i w Białym Domu. GAFAs zatrudnia najlepsze firmy prawnicze i ekspertów podatkowych. Ich wpływ na tworzenie prawa jest bezsprzeczny i nie odnosi się tylko do regulacji dotyczących mediów społecznościowych, ale wszystkich przyszłych inwestycji na rynku technologicznym.

Debata będzie trwać i najwyraźniej amerykańscy ustawodawcy nie będą pierwszymi, którzy stworzą nowe prawo regulujące władzę i odpowiedzialność w tej dziedzinie. Wolność słowa jest systematycznie nagięta do wymogów ideologicznych właścicieli platform społecznościowych. Dla przykładu, Twitter twierdzi, że zaczął oznaczać *tweety* zawierające wprowadzające w błąd informacje o szczepionkach COVID-19 i używać „systemu ostrzeżeń”, aby ostatecznie usuwać konta, które wielokrotnie naruszają jego zasady. Już dwa ostrzeżenia spowodują zablokowanie konta na dwanaście godzin. Pięć lub więcej spowoduje stałe zablokowanie dostępu do Twittera.

Najważniejsze w tym zakresie mogą okazać się działania Komisji Europejskiej, która pracuje nad opodatkowaniem gigantów technologicznych. Podobnie rzecz się ma w Australii. A dla lepszego zrozumienia kontekstu i różnicy pomiędzy mediami społecznościowymi a informacyjnymi warto zwrócić uwagę na to, że każdy kto włączy np. Fox News czy CNN, otrzyma te same informacje – treść programu jest taka sama dla każdego, kto włącza telewizor. Użytkownicy mediów społecznościowych otrzymują natomiast informacje generowane przez algorytm. I są to informacje bardzo różne.

BARTOSZ MROCZKOWSKI – analityk ds. międzynarodowych. Specjalizuje się w amerykańskiej polityce zagranicznej i konfliktach zbrojnych. Absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego, stażysta w Konsulacie Generalnym RP w Los Angeles, autor kilkudziesięciu artykułów, analiz i recenzji literatury z zakresu stosunków międzynarodowych.

Bibliografia:

- Associated Press, Twitter Cracks Down on COVID Vaccine Misinformation, <https://time.com/5943341/twitter-covid-vaccine-misinformation/>, dostę 4 III 2021 r.
- Center for Responsive Politics, www.opensecrets.org, dostę 4 III 2021 r.
- Content Moderation, www.internetassociation.org, dostę 4 III 2021 r.
- Galloway S., *The Four: The Hidden DNA of Amazon, Apple, Facebook and Google*, New York 2017.
- Gregg A., CIA long relied exclusively on Amazon for its cloud computing. Now it is seeking multiple providers for a massive new contract, „Washington Post”, 2 IV 2019.
- Most Popular Social Media Platforms in 2020, <https://www.oberlo.com/statistics/most-popular-social-media-platforms>, dostę 4 III 2021 r.
- Siripurapu A., Merrow W., Social Media and Online Speech: How Should Countries Regulate Tech Giants?, <https://www.cfr.org/in-brief/social-media-and-online-speech-how-should-countries-regulate-tech-giants>, dostę 5 III 2021 r.
- Tankovska H., Number of daily active Facebook users worldwide as of 4th quarter 2020, <https://www.statista.com/statistics/264810/number-of-monthly-active-facebook-users-worldwide/>, dostę 5 III 2021 r.
- The Creepy Line – Full Documentary on Social Media’s manipulation of society, <https://www.youtube.com/watch?v=0v6KBGr5IzY>, dostę 4 III 2021 r.
- Timberg C., Could Google tilt a close election?, „Washington Post”, 29 III 2013.
- Vogels E.A., Perrin A., Anderson M., Most Americans Think Social Media Sites Censor Political Viewpoints, Pew Research Center, 19 VIII 2020.

DOMINIKA RAFALSKA

REWOLUCJA CYFROWA PRZYSZŁA ZA SZYBKO

**rozmowa z Bernardem Osserem, dziennikarzem Agence
France-Press.**

Zmęczeni natłokiem informacji, coraz rzadziej szukamy ich na własną rękę zadowolając się codziennym pakietem wiadomości w mediach społecznościowych. Gorzej, że pakiet ten przygotowuje algorytm na podstawie naszych zainteresowań, preferencji czy poglądów politycznych. Oglądamy świat jednowymiarowo.

Gdy w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych dotarł do Polski internet, dość powszechnie wierzono, że odmieni on oblicze rynku medialnego. Mowa oczywiście o zmianach na lepsze. Tak się stało?

Rozmawiamy w momencie, gdy prasie drukowanej zadano ostateczny cios. Stało się to jednak nie za sprawą samego internetu, ale pandemii, podczas której niebotycznie wzrosły abonamenty cyfrowe wielu gazet. Przychody z tego tytułu np. w „New York Timesie” pod koniec 2020 r. przerosły te, z prasy drukowanej. To samo dzieje się we Francji. Możemy założyć, że niedługo większość gazet czy tygodników będzie się ukazywać już tylko w sieci, a wydania papierowe będą wyłącznie dla kolekcjonerów. Może na tej samej zasadzie co ładnie wydane książki...

Trudno stwierdzić, czy internet zmienił oblicze mediów na lepsze. Odpowiedź na pytanie o to, czy rewolucja jest dobra czy zła zawsze przychodzi dopiero po dłuższym

czasie. Pewne jest to, że prasa drukowana oferowała informacje, komentarze, szersze spojrzenie na świat, refleksję... Internet spowodował, że tradycyjne media straciły moc konkurencyjności: stały się za drogie, za wolne, ludzie przestali czytać długie teksty... Pojawiły się też nowe źródła informacji i pseudo informacji. To przelożyło się na zdecydowany spadek jakości treści. Dziś we wszystkich portalach znajdujemy to samo, a źródeł, które można cytować nie narażając się na śmieszność jest, wbrew pozorom, niewiele.

Mediom drukowanym zaczęło brakować pieniędzy na produkcję wartościowych tekstów. Gdy na początku lat dziewięćdziesiątych pracowałem jako korespondent „Le Figaro” w Polsce, redakcja wysłała mnie na pięć tygodni do Rosji. Pojechałem na obrzeża wojny czeczeńskiej, do Kaliningradu, Mińska, Moskwy... Pieniądze nie grały roli. Najważniejsze były teksty.

Inny był też prestiż zawodu dziennikarza?

Pytanie, kogo nazywamy dzisiaj dziennikarzem? Czy osoba, która przepisuje z internetu informacje i redaguje je to dziennikarz czy pracownik mediów? Myślę, że stawka za artykuł we Francji czy USA praktycznie nie zmieniła się od dwudziestu lat. Prestiż jednak spadł. Choć z drugiej strony, duże gazety jak „Guardian”, „New York Times” czy stacje sponsorowane przez państwo, jak np. BBC mogą sobie pozwolić na prawdziwą pracę dziennikarską.

To jednak tylko nieliczni.

Wraz z rewolucją, którą wprowadził internet, media nie wypracowały modelu finansowania. I dopóki to się nie stanie, sytuacja dziennikarzy będzie bardzo trudna. Internetem rządzą wielkie platformy znane jako GAFAM. To one ściągają większość treści reklamowych. Media tradycyjne nie miały kiedyś takiej konkurencji. Dziś GAFAM nie tylko kumulują pieniądze z reklam zewnętrznych, ale także korzysta z ich artykułów: kopiuje je i wykorzystuje, nie dzieląc się zyskami z treści reklamowych, które ukazują się przy tych tekstach. W USA zabiera ponad 70 proc. przychodów reklamowych lokalnym stacjom telewizyjnym i radiowym. To gigantyczne pieniądze.

Co można z tym zrobić?

W niektórych krajach podejmuje się próby uregulowania tej sytuacji. W 2020 r. we Francji Google podpisał umowy z sześcioma największymi gazetami o podziale zysków z reklam, które ukazują się przy artykułach. Na początku roku, podobną umowę podpisano z kolejną grupą mediów. Oczywiście dzieje się to pod naciskiem grup medialnych i państwa. I tutaj warto zastanowić się, jak duża powinna być interwencja państwa w rynek medialny. Wydaje się, że bez niej nie poradzi on sobie. Chodzi o stworzenie ram prawnych, które pozwolą w sposób przewidywalny funkcjonować mediom.

Dziś odbiorcy coraz częściej czerpią swoją wiedzę o świecie już nawet nie z internetu, ale z mediów społecznościowych. Dzięki nim informacje docierają do nich jeszcze szybciej, ale też ulegają jeszcze większemu przetworzeniu. To wiarygodny przekaz?

Na pewno i taki przekaz można znaleźć w mediach społecznościowych. Tylko większość osób nie wie, gdzie go szukać. Rewolucja cyfrowa przyszła za szybko. Społeczeństwa nie były na nią przygotowane. Nie nauczyliśmy się dokonywać selekcji informacji, odczytywać ich, rozpoznawać, które z nich są wiarygodne, a które nie. Ten element edukacji powinien funkcjonować w szkołach od najmłodszych lat.

Agencja AFP, w której Pan pracuje, od kilku lat prowadzi *fact checking* informacji pojawiających się na Facebooku. Na czym on polega?

Tak naprawdę, na wykonywaniu rzetelnej roboty dziennikarskiej. Nasi dziennikarze sprawdzają wpisy, które pojawiają się w przestrzeni Facebooka. To bardzo żmudna praca, polegająca na rozebraniu artykułu na części pierwsze, sprawdzeniu wszystkich twierdzeń, które tam padają i potwierdzeniu bądź zanegowaniu ich w oparciu o dowody, linki, wywiady ze specjalistami... Powinien to być pierwszy etap powstawania artykułu, a nie praca *post factum*.

Jakie wnioski płyną z tych badań?

W tej chwili mamy gigantyczną liczbę *fake newsów* na temat pandemii, szczepionek, maseczek, samego wirusa. Pojawiają się one często na bardzo dziwnych stronach – w przypadku pandemii angażuje się w nie np. ruch antyszczepionkowy. To artykuły, które specjalnie wprowadzają w błąd np. zamieszczając zdjęcia manifestacji sprzed kilkunastu lat przy artykule o protestach przeciwko szczepieniom albo przypisując autorytetom medycznym słowa, których nigdy nie wypowiedziały. To czysta manipulacja.

Znajdujemy też wiele tekstów, w których występują niedopowiedzenia czy błędne interpretacje. Mam na myśli np. artykuły, których autorzy wyciągają niewłaściwe wnioski z przeprowadzonych badań – myślą np. wzrost procentowy z liczbą zakażeń czy zgonów...

Czyli szeroko rozumiana postprawda, w której fakty mają najmniejsze znaczenie?

Tak. Problem polega też na tym, że o ile nawet jakaś niewielka grupa osób robi to naprawdę celowo, to 90 proc. osób przekazuje to dalej, zupełnie bezrefleksyjnie. Informacja idzie w świat, bez sprawdzenia jej wiarygodności. Te osoby biorą w ten sposób odpowiedzialność za propagowanie *fake newsów*. Dlatego twierdzę, że jeśli nie wprowadzimy w szkołach nauki o mediach społecznościowych i internecie: o tym jak funkcjonują i co z nami robią, będziemy mieli kłopot jako społeczeństwo. I nie mówię tu tylko o Polsce.

Na czym jeszcze te kłopoty mogą polegać?

Wydaje się np, że media społecznościowe, wbrew temu co zapowiadały, że łączą wszystkich ze wszystkimi, bardzo podzieliły społeczeństwo, zamykając poszczególne grupy w bańkach społecznych. Przestaliśmy się komunikować z innymi członkami naszej społeczności. Z czasem to przerodzi się w nieumiejętność prowadzenia rozmowy z ludźmi spoza naszego najbliższego grona znajomych, osobami, które wyznają inne poglądy.

Te bańki istniały zresztą wcześniej, tylko nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Internet i media społecznościowe spotęgowały to zjawisko i uszczelniły je poprzez swoje algorytmy. Bo przecież Facebook pokazuje nam tylko to, co chce nam pokazać. Odbiorcy są coraz bardziej zmęczeni natłokiem informacji – nie szukają ich na własną rękę, zadowolając się *feedem* w *social mediach*. Mamy za dużo bodźców, jesteśmy zabiegani, nie mamy siły... To jak jedzenie z *fast foodu* – niezdrowo, ale za to miło, szybko i przyjemnie. Można powiedzieć – wszystkim smakuje.

BERNARD OSSER – wieloletni korespondent prasy francuskiej w Polsce. Od ponad dziesięciu lat dziennikarz warszawskiego biura Agence France-Presse.

DOMINIKA RAFALSKA – doktor nauk humanistycznych, absolwentka enologii na UJ, dziennikarka, redaktorka, badaczka historii najnowszej. Sekretarz redakcji „Res Publici Nowej”.

ANNA MIERZYŃSKA

JAK POLSKA TRACI DEMOKRACJĘ

PiS nie odpuści propagandy, nie da spokoju mediom i uczelniom. To od nich zależy, czy utrzyma się u władzy.

Pogłębianie polaryzacji społecznej i manipulacja przestrzenią informacyjną – to kluczowe elementy, które pozwalają utrzymać się przy władzy zarówno populistom, jak i nowym autokratom. Znamy to z Polski, znamy też z Węgier, Turcji czy Rosji. Dzięki tym narzędziom, autokraci mogą przez lata liczyć na popularność społeczną, tolerancję wobec łamania zasad demokracji i mobilizację wyborców. Oczywiście, dopóki uda im się zachować cały system w korzystnej dla siebie równowadze.

Te specyficzne, nowe formy rządów opisali niedawno zagraniczni naukowcy. Raport *Backsliding. Democratic Regress in the Contemporary World* o regresie demokracji w kilkunastu państwach na świecie (w tym w Polsce) opublikowali, na platformie Cambridge University Press, Stephan Haggard i Robert Kaufman – amerykańscy ekonomiści polityczni.

Z kolei Sergei Guriev, ekonomista pracujący na uczelniach we Francji i w Anglii oraz Daniel Treisman, politolog z University of California, stworzyli teorię o „informacyjnych autokracjach” jako nowej formie autorytaryzmu. Ich prace pozwalają zrozumieć sytuację, z którą mamy do czynienia w Polsce.

SZYBCIEJ NIŻ NA WĘGRZECH

Haggard i Kaufman porównali stan demokracji w kilkunastu państwach na świecie. W oparciu o międzynarodowy monitoring określili poziom swobód obywatelskich, niezależności sądów najwyższych, integralności procesu wyborczego, kontroli mediów przez państwo oraz polaryzacji społecznej. Zapewne nikogo nie zaskoczy, że w Polsce w latach 2015–2020 spadły wartości wszystkich tych wskaźników. Ale na tym nie koniec: nasza sytuacja pogorszyła się bardziej niż w Stanach Zjednoczonych za czasów Donalda Trumpa, bardziej niż na Węgrzech, Ukrainie czy nawet w Rosji. Jak podkreślili naukowcy, Polska bardzo szybko upodobnia się do Węgier pod rządami Viktora Orbána.

Eksperti wyliczyli to szczegółowo. Według ich danych, wskaźniki erozji demokracji wyglądają następująco:

- niezależność Sądu Najwyższego (liczona według skali od 0 do 4 punktów, gdzie 0 – pełna niezależność, a 4 – pełna zależność): w Polsce (2015–2019) – spadek o 1,16 punktu; na Węgrzech (2010–2019) – spadek o 0,62 punktu; w Rosji (1999–2017) – spadek o 1,19 punktu. Jak widać, pięcioletnie zmiany w Polsce w tej przestrzeni prawie dorównują poziomowi zmian w Rosji, i to z ostatnich 18 lat.

- niezależność mediów (według skali od 0 do 4 punktów, gdzie 0 – rutynowa cenzura, a 4 – rzadka ingerencja państwa w media): w Polsce (2015–2019) – spadek niezależności mediów o 1,82 punktu; na Węgrzech (2010–2018) – spadek o 0,95 punktu; w Rosji (1999–2019) – spadek o 2,02 punktu.

- poziom swobód obywatelskich (według skali od 0 do 4 punktów, gdzie 0 – wysokie represje wobec obywateli, a 4 – brak represji): w Polsce (2015–2019) – spadek o 1,22 punktu; na Węgrzech (2010–2019) – spadek o 1,08 punktu; w Rosji (1999–2019) – spadek o 1,72 punktu.

- integralność systemu wyborczego (łącznie ze zmianami personalnymi w instytucjach wyborczych polegających na zastąpieniu osób niezależnych od partii rządzącej osobami z nią związanymi; według skali od 0 do 4 punktów, gdzie 0 – brak autonomii, a 4 – wysoka autonomia instytucji wyborczych): w Polsce (2015–2019)

spadek o 1,3 punktu; na Węgrzech (2010–2018) – spadek o 1,04 punktu; w Rosji (1999–2016) – spadek o 1,02 punktu.

Nasze wyniki są więc gorsze niż węgierskie i niebezpiecznie zbliżają się do poziomu rosyjskiego. Na szesnastu przebadanych państwach znaleźliśmy się na czwartym miejscu, jeśli chodzi o najwyższy regres kluczowych elementów systemu demokratycznego. Możemy się pocieszać, że jeszcze gorzej jest w Turcji, Macedonii i Wenezueli...

Do tego dochodzi skrajnie wysoka polaryzacja społeczno-polityczna. Okazuje się, że Polska ma jedno z najbardziej spolaryzowanych społeczeństw w Unii Europejskiej. Przy czym niestety, te podziały wciąż podsycają politycy. Wystarczy przypomnieć o niedawnym zaostrzeniu przepisów prawa aborcyjnego przez obecny Trybunał Konstytucyjny (pod przewodnictwem Julii Przyłębskiej), czy o wykorzystaniu tematu osób LGBT przez partie prawicowe w czasie kampanii wyborczych.

DOPÓKI WOJNA TRWA...

Skąd to polityczne zaangażowanie w pogłębianie polaryzacji? Otóż sprzyja ona wzrostowi popularności autokratów, daje też większą tolerancję społeczną na odstępstwa od demokratycznych reguł. Podzieleni wyborcy widzą w konkurentach partyjnych prawdziwych wrogów. I tak też ich traktują. A akceptacja dla bezpardonowego rozprawiania się z wrogami jest zazwyczaj wysoka. Panuje powszechne przekonanie, że w czasie wojny obowiązują inne prawa niż w czasie pokoju, więc demokrację można chwilowo odłożyć do lamusa, byle tylko pokonać wrogów i ogłosić zwycięstwo. Teoretycznie wtedy można będzie wrócić do wcześniejszych zasad. Ale co zrobić, jeżeli wojna trwa non stop?

To dlatego PiS używa wojennej retoryki. Słuchając jego polityków można odnieść wrażenie, że oni stale walczą, i to na wielu frontach: z Unią Europejską (o budżet, niesłuszne decyzje dotyczące praworządności, szczepionki przeciwko COVID–19 etc.), z tzw. „sędziowską kastą”, z Niemcami (o reparacje), z protestującymi kobietami („bo atakują kościoły”), osobami LGBT („bo chcą zniszczyć polską,

tradycyjną rodzinę”), kobietami („bo chcą mordować nienarodzone dzieci”). O powodach tej walki mówił wprost prezes Jarosław Kaczyński, w słynnym internetowym wystąpieniu podczas protestów kobiet w październiku 2020 r.: „Ten atak jest atakiem, który ma zniszczyć Polskę. Ma doprowadzić do triumfu sił, których władza w gruncie rzeczy zakończy historię narodu polskiego, tak jak dotąd go żeśmy postrzegali. (...) Brońmy Polski, brońmy patriotyzmu i wykażmy tutaj zdecydowanie i odwagę”.

A ojczyzny broni się przecież za wszelką cenę, nie patrząc na demokratyczne reguły i niepisane obyczaje. Ważne, by wygrać. O tym, że nie ma żadnej wojny, że wciąż żyjemy w tej części Europy, w której nie toczą się żadne walki, zdają się już pamiętać nieliczni.

Polaryzacja oddziałuje jednak na wszystkie strony sporu. Radykalizują się obywatele identyfikujący się z każdą opcją polityczną i u wszystkich rośnie tolerancja na działania antydemokratyczne. Ta sytuacja nie zakończy się w Polsce razem z rządami Prawa i Sprawiedliwości. Trzeba będzie wielkiego wysiłku, by przywrócić demokrację nie tylko w państwie, ale i w naszych głowach, zmienić sposób myślenia o tym, co dopuszczalne, a co nie, ponownie wyznaczyć granice dla zachowań, które w prawdziwej demokracji nie mogą mieć miejsca.

INFORMACYJNE AUTOKRACJE

Retoryka wojenna pozwala wyborcom oswoić się z nową sytuacją na poziomie psychologicznym: dokonują normalizacji nadużyć i dają przyzwolenie na łamanie zasad demokracji, ponieważ chcą obronić swój kraj przed zniszczeniem. Autokraci szybko to wykorzystują (jak widzimy z porównań, w Polsce wyjątkowo szybko) – naruszają niezależność sądów, niszczą mechanizmy kontrolne państwa i niezależność systemu wyborczego, osłabiają opozycję. Starają się też kontrolować przestrzeń informacyjną. W Polsce najnowszym symbolem tej kontroli stało się mianowanie przewodniczącym Rady Programowej Polskiego Radia Marka Suskiego, posła PiS, a jego zastępczynią – Małgorzatę Gosiewską, posłankę PiS.

Kontrola informacji nie musi dziś wyglądać tak, jak jeszcze kilkadziesiąt lat temu w rozmaitych dyktaturach czy w państwach komunistycznych: oficjalna cenzura, likwidacja niepokornych mediów, kary więzienia dla dziennikarzy, zakazy publikacji. Nowi autokraci dbają o swój wizerunek – tego typu represje stosują więc rzadziej i mniej jawnie, wołają presję ekonomiczną. Sergei Guriev i Daniel Treisman tę formę autorytaryzmu nazwali informacyjną autokracją. I choć badacze nie monitorowali Polski, ich ustalenia doskonale opisują sytuację w naszym kraju. „W ostatnich dziesięcioleciach dyktatury oparte na masowych represjach w dużej mierze ustąpiły miejsca nowemu modelowi, opartemu na manipulacji informacjami. Zamiast terroryzować obywateli i w ten sposób zmuszać ich do poddania się władzy, »informacyjni autokraci« sztucznie zwiększają swoją popularność, przekonując opinię publiczną, że są kompetentni” – piszą Guriev i Treisman. W tym celu autokraci wykorzystują propagandę, manipulują informacjami oraz uciszają lepiej poinformowane osoby, które mogłyby udowodnić, że rządzący wcale kompetentni nie są.

BO TO ZŁA ELITA JEST

Za kluczowy element systemu naukowcy uznają balans między dwiema grupami społecznymi: niezainteresowaną polityką większością a mniejszościową grupą obywateli, lepiej poinformowanych o rzeczywistej sytuacji politycznej (badacze używają dla niej określenia „elita”). Dopóki krytyczny przekaz elity na temat władzy nie przebija się do większości, dopóty autokraci mogą spokojnie rządzić. Robią więc wszystko, by odizolować ogół społeczeństwa od lepiej poinformowanych. Po pierwsze, starają się osłabić elitę, a część jej członków po prostu kupić, oferując rozmaite korzyści osobiste. Po drugie, manipulują przekazem płynącym od elity, by do większości dotarł on w formie zniekształconej, za to korzystnej dla władzy. Po trzecie, podważają wiarygodność intelektualnych autorytetów – oczywiście tych, na które nie mają wpływu.

Dokładnie tak wygląda to w Polsce. Krytyczne napięcie między polskimi elitami a „suwerenem” stale podtrzymują rządzący oraz zależne od nich media. Wystarczy przypomnieć, do jakiego poziomu rozbudzono emocje, skierowane przeciwko

kilkunastu aktorom, którzy zaszczepili się przeciwko koronawirusowi poza kolejnością. Mimo niejasnej sytuacji, w jakiej do tego doszło, zrzucano winę bezpośrednio na artystów (a potem także na uczelnię, do której należała poradnia szczepiąca ich), robiąc z nich ludzi, myślących wyłącznie o sobie i odbierających szczepionki „ludowi”. Jednocześnie wyciszano przypadki szczepień poza kolejnością wśród członków partii rządzącej, a także pomijano milczeniem pytanie, kto z najwyższych rangą polityków Zjednoczonej Prawicy już się zaszczepił.

Ataki na wykształcone elity są znakiem rozpoznawczym rządów Prawa i Sprawiedliwości. Pierwsze z nich miały miejsce już w latach 2005–2007, czyli za czasów pierwszych rządów tej partii. Jeśli przyłożymy model informacyjnej autokracji do tego rodzaju działań, stanie się jasne, że celem tych ataków jest zabezpieczenie się władzy przed sytuacją, w której elita mogłaby zdobyć uwagę większości.

MEDIA NIEZBĘDNE DLA POPULARNOŚCI RZĄDZĄCYCH

Drugi ważny element, który pozwala funkcjonować informacyjnej autokracji, to kontrola mediów. I znów – w Polsce wszystko pasuje do opisywanego modelu. Najpierw rządząca partia uczyniła tubę propagandową z mediów publicznych oraz zapewniła możliwość bezproblemowego funkcjonowania zaprzyjaźnionym z rządem mediom prywatnym (choćby przez wpływy z reklam spółek Skarbu Państwa). W drugiej kadencji rządów PiS okazało się jednak, że w czasie kryzysu, wywołanego pandemią, ten system nie wystarcza. Prawo i Sprawiedliwość poczuło, że traci kontrolę nad przekazem. Państwowy Orlen kupił więc media regionalne od niemieckiego koncernu Polska Press. Ma to pomóc rządzącym w zachowaniu popularności w społeczeństwie. Przy czym, nie chodzi tu o popularność taką, jaką ma np. piłkarz Robert Lewandowski. Wystarczy, że władza będzie się wydawała bardziej wiarygodna i sympatyczniejsza niż elita i system będzie działał.

Informacyjna autokracja zależy od dwóch zmiennych: wielkości grupy poinformowanej (w stosunku do ogółu społeczeństwa) oraz wpływu rządzących na media (w celu kontroli przekazu docierającego do większości).

Zazwyczaj elitarna grupa jest na tyle duża, że nie oplaca się stosować wobec niej zbyt brutalnych represji (jak w klasycznych dyktaturach sprzed kilkudziesięciu lat), bo te osłabiłyby wizerunek władzy, która chce się prezentować jako kompetentna, a nie brutalna. Ale jednocześnie jest to grupa zbyt mała, by zwalczyć dominację państwa w przestrzeni informacyjnej. Tak jak w Polsce.

W krajach funkcjonujących według tego modelu, rzeczywista demokratyzacja może nastąpić, gdy wzrośnie grupa wykształconych i poinformowanych lub kiedy wśród ogółu społeczeństwa dojdzie do demobilizacji wyborczej. Autokraci zrobią więc wszystko, by do tego nie dopuścić. Uczelnie i media – to one są dziś solą w oku rządzących. W tej perspektywie łatwo zrozumieć nominację kontrowersyjnego Przemysława Czarńka na stanowisko ministra edukacji i nauki, wzmocnienie państwowej propagandy i próby osłabienia kluczowych mediów niezależnych (ich przekaz dociera do dużej liczby obywateli, co może zachwiać równowagą). W żadnej z tych dziedzin PiS nie odpuści – bo nie może. To kwestia przetrwania, partyjnego być albo nie być. Ponieważ PiS chce dalej rządzić, będzie dociskał rozchwiany system. I liczył na to, że sytuacja się ustabilizuje, oczywiście w sposób korzystny dla władzy.

ANNA MIERZYŃSKA specjalizuje się w marketingu sektora publicznego, kreowaniu wizerunku, PR-e i mediach społecznościowych. Prowadzi blog poświęcony tematyce kreowania wizerunku w sieci oraz analizom zjawisk społecznych w sieci: <https://mierzynska.marketing/>. Bada zjawiska społeczne w mediach społecznościowych. Działa marketingowo na rzecz instytucji publicznych, uczelni wyższych i organizacji pozarządowych. W swej karierze realizowała kampanie wyborcze, planowała strategie wizerunkowe i przekazowe w mediach tradycyjnych i społecznościowych, odpowiadała za kontakty z mediami.

WOJCIECH PRZYBYLSKI

SPRAWIEDLIWOŚĆ W EUROPIE POTRZEBUJE SYGNALISTÓW

rozmowa z Aliną Mungiu-Pippidi, czołową europejską specjalistką ds. walki z korupcją.

Rumunia ma swoją bohaterkę. Camelia Bogdan to sędzia, która wbrew nieprzychylnym układom na szczytach władzy wsadziła do więzienia szefa nieformalnej grupy byłych funkcjonariuszy Securitate i skonfiskowała jego majątek na rzecz skarbu państwa. Za swoją postawę została kilkakrotnie zdegradowana i zawieszona. O jej sprawie, a także o walce UE o praworządność rozmawiamy z Aliną Mungiu-Pippidi.

Co sprawa Camelii Bogdan mówi o sytuacji i problemach dotyczących wymiaru sprawiedliwości i korupcji w Rumunii?

Jej sprawa ilustruje dramatyczny wybór. Na wojnie o praworządność trudno czasem zdecydować, kto jest prawdziwym wrogiem. A można ją wygrać jeśli przeciwnik jest jasno określony. Rumuńskie sądownictwo jest niezależne od połowy lat dziewięćdziesiątych. W niektórych okresach dobrze wykorzystywano tę niezależność, ale czasami korzystano z niej dla własnych interesów.

Camelia Bogdan jako jedna z pierwszych odważyła się wydać surowe wyroki antykorupcyjne. Skazała Dana Voiculescu, człowieka, który zajmował się praniem pieniędzy Nicolae Ceaușescu, a następnie stworzył medialne imperium, które od dawna sponsoruje prace wielu prawników. Jego eksperci definiują przestrzeń debaty o praworządności. Dzięki nim promował bardzo agresywny styl relacji telewizyjnych. Padaly w nich nazwiska, ukazywały się zdjęcia i historie rodzinne sędziów, których werdykty nie były wygodne dla jego środowiska.

Tacy ludzie z powodzeniem wykorzystują media do wywierania wpływu na wymiar sprawiedliwości, prowadząc negatywne kampanie wobec sędziów, którzy decydują wbrew ich interesom. Ich stacje telewizyjne mają dużą widownię. Zaspokajają przy tym interesy określonej grupy i mają jej legitymację. Korzystali z tego narzędzia również w Radzie Sądownictwa. Przez to wszyscy jej członkowie odwrócili się od Cameli Bogdan, obawiając się ściągnięcia na siebie negatywnej prasy.

Z drugiej strony, wielka odwaga Bogdan również miała wpływ na jej sytuację. Interweniowała w sprawie, w której zaistniał wyraźny konflikt: interesy rodzinne splatały oskarżonego i osoby z palestry. Często zdarzało się, że organizowane w ten sposób sprawy docierały do współmałżonka osoby, która pracowała dla oskarżonego. Camelia interweniowała, ale pozostali sędziowie nie byli jej za to wdzięczni.

Dlaczego?

Walka z kolegą nie jest powszechną praktyką w Rumunii, jest źle postrzegana. Podobnie jak korporacje, sędziowie starają się bronić własnych interesów. Biegli związani z potentatem medialnym przedstawili następnie skargę, zastraszając sędziego rozstrzygającego. Za niewiele znaczącą skargę została wykluczona z magistratu.

To brzmi okropnie. Z tego, co Pani mówi, wynika również, że Securitate – była komunistyczna tajna policja Rumunii ma wpływy w obecnym systemie. W Rumunii nie było lustracji?

Przykład oligarchy medialnego to przypadek człowieka, którego fortuna ma swoje korzenie w majątku Securitate. Reprezentuje część władzy. Camelia wywołała też gniew w innej części establishmentu. W Securitate istniały dwie frakcje, luźno ze sobą powiązane, czasami wręcz przeciwstawiające się sobie. Jedna z nich to potomkowie starej instytucji – jej przykładem jest właśnie wspomniany potentat medialny. Druga składa się raczej z niższych rangą osób, takich jak byli informatorzy.

Nowym służbom Rumunii nie udało się złagodzić ich wpływów. Co więcej, rumuńskie tajne służby (jest ich siedem), mają bezpośrednie korzenie w dawnym Securitate. To różne gałęzie, z których najpotężniejszą jest rumuński serwis wywiadowczy. Podczas kampanii antykorupcyjnej w 2007 r. rumuńscy sędziowie nie zdołali skazać tylu osób, ile chcieli, pomimo utworzenia dużej agencji walczącej z korupcją.

Okoliczność ta doprowadziła do podjęcia tajnej decyzji w organie Najwyższej Rady Obrony Narodowej Rumunii. Zdecydowano, że korupcja stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego. Ten werdykt upoważnił tajne służby do podsłuchania całego wymiaru sprawiedliwości. Chciano sprawdzić, czy sędziowie sami nie są skorumpowani.

W rumuńskim systemie prawnym istnieje mechanizm zezwalania na podsłuchy poprzez zwracanie się do sądów, które zajmują się zatwierdzeniem ich w przypadku podejrzenia korupcji. Jednak rumuńskie służby zastosowały inną metodę.

Dzięki niej wprowadzili kompletny system nadzoru. Mieliśmy znaczną liczbę wyroków skazujących w ciągu niespełna dwunastu miesięcy.

Metodę tę Rumunia wykorzystała do uzyskania znacznie lepszych statystyk dotyczących korupcji przed przystąpieniem do Unii Europejskiej. Niewielu wie o tym fakcie. Uważam, że to nieuczciwe, że UE podaje innym krajom Rumunię za przykład walki z korupcją. Te metody należy uznać za haniebne. Służby nadal mają znaczące wpływy w Rumunii. Uważam, że ich ostatecznym celem jest powrót do poprzednich metod.

Camelia Bogdan straciła poparcie środowiska, gdy sprzeciwiła się służbom. Odpowiadała również za bezprecedensowe zamrożenie aktywów innego oligarchy, który pośredniczył w pozyskiwaniu znacznych środków Securitate na sprawy

zagraniczne. Rumuńskie służby posiadają znaczną liczbę przedsiębiorstw. Sędzia Bogdan zamroziła aktywa notorycznie skorumpowanej osoby podejrzanej o pranie brudnych pieniędzy. Wiele z tych funduszy jest ulokowanych w Afryce. Sama nie wiem, dlaczego rumuńskie tajne służby mają fundusze właśnie tam. Ale tym właśnie zraziła do siebie obydwie frakcje.

Wygląda to na bitwę na dwóch frontach przy braku istotnych sojuszników.

Tylko rumuńska opinia publiczna popiera Camelię. Uważają ją za najodważniejszego sędziego w walce z korupcją. Wpływowi aktorzy jej nie popierają, co pośrednio wyjaśnia też, dlaczego rumuńska Partia Socjaldemokratyczna przegrała wybory półtora roku temu. Ale od tego czasu (Rumunią rządzi obecnie centroprawicowa Partia Narodowo-Liberalna – przyp. aut.) było dwóch ministrów sprawiedliwości, z których żaden nie poparł sprawy Camelii Bogdan.

Poprzedniego ministra starałam się dwukrotnie do tego przekonać. Za każdym razem zapewniał mnie, że będzie próbował poprawić sytuację, ale niczego nie wskórał. Osoby te wykorzystały skandal wizerunkowo i jedynie składały deklaracje programowe.

Obawiam się, że przesłanie, które niesie ta historia, jest takie, że osoby, które angażują się w te heroiczne akty walki z korupcją, są w tych przedsięwzięciach same od początku do końca. Mimo poparcia w społeczeństwie brakuje solidarnego przeciwstawienia się problemowi. Martwi mnie, że Bruksela nie reaguje. Wydaje się, że jest zadowolona ze statystyk i nie chce widzieć kuchni.

Co Unia Europejska mogłaby, Pani zdaniem, zmienić w swoim podejściu?

Pracowałam w pierwszej grupie ekspertów Komisji Europejskiej ds. Korupcji i zdecydowałam się ustąpić. Kilkakrotnie próbowałam zgłaszać swoje rekomendacje, na które otwarty był tylko Frans Timmermans. W odpowiedzi natychmiast ukrócił te działania. Po części wynikało to z faktu, że Komisji trudno jest coś zrobić w tej dziedzinie.

Unia Europejska w ogóle nieźle służy sprawie demokracji i państwa prawa. Weźmy na przykład Malte, która przed akcesją miała bardzo wysoki poziom przestępczości, głęboko zakorzeniony w strukturze państwa. Swego czasu ofiarą tego układu padła znana dziennikarka śledcza Daphne Caruana Galizia zamordowana w 2017 r. Obywatele Malty mają bardzo wysoką tolerancję na korupcję w swoim państwie i gdyby nie UE, najprawdopodobniej nie doszłoby tam do wymierzenia sprawiedliwości wysoko postawionym sprawcom.

Zdaję sobie sprawę, że UE to przede wszystkim mechanizm polityczny. Powszechnie wiadomo, że członek dużej partii w UE nie będzie krytykowany, a nawet może liczyć na obronę ze strony swoich kolegów. Widziałam z bliska, jak mocne raporty antykorupcyjne pod wpływem nacisku urzędników z Luksemburga są wyszczerbiane z argumentów.

W ten właśnie sposób, w jednym z moich raportów, rozdział o Luksemburgu stał się komicznie krótki. Ten zdawkowy akapit z grubsza sprowadził się do tego, że Luksemburg jest wspaniałym miejscem, że nie trzeba interweniować ani dalej obserwować tego kraju, ponieważ jest tam niski poziom korupcji i stabilne rządy prawa.

Tymczasem do myślenia powinno dać nam to, że osoby zajmujące się praniem brudnych pieniędzy w Europie najczęściej zatrudniają firmy prawnicze właśnie z Luksemburga. Prawnicy w tym kraju wyspecjalizowali się już w tej dziedzinie i dlatego właśnie dyrektywa w sprawie sygnalistów przyjęta na szczelbu UE i wdrażana w państwach Unii do końca tego roku ma większy sens (dyrektywa z 2019 r. tworzy bezpieczne ścieżki dla osób, które chcą zgłosić działania korupcyjne we własnej organizacji – przyp. aut.).

W Luksemburgu sąd skazał sygnalistę PwC z LuxLeaks na karę więzienia, postawił w stan oskarżenia dwóch francuskich dziennikarzy, którzy po raz pierwszy opisali aferę. Stanowiło to wyraźny kontrast z obrazem przedstawionym w raporcie na temat praworządności, w którym Luksemburg okazał się mieć najwspanialszy wymiar sprawiedliwości w Europie. Mamy do czynienia również z rażącym pominięciem największego skandalu korupcyjnego w Niemczech. Pozostają nam wobec tego pozwy sądowe, w tym do Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości. To oczywiste, że

potrzebujemy szybszego działania sądu. Problem w tym, że jeśli idzie o obronę rządów prawa, nikt nie przewidział tych kwestii w momencie ich tworzenia.

Jaką strategię Pani rekomenduje?

Sugerowałabym raczej prowadzenie bardziej ukierunkowanych niż zakrojonych na wielką skalę działań. Te drugie mogą mieć wyłącznie charakter polityczny. Uważam, że UE musi zabrać głos w sprawie Węgier, Polski i Rumunii.

Unia Europejska powinna interweniować w kampanie wyborcze i informować, że nie będzie żadnych nagród pieniężnych w postaci funduszy unijnych, dopóki problematyczne rządy nie zostaną odrzucone. Nie widzę innej opcji. Twarde stanowisko np. w sprawie Węgier dodałoby odwagi wyborcom i Orbán zamiast 60 proc. poparcia w wyborach miałyby o 20 punktów procentowych mniej. Można obciąć fundusze tym, którzy nie przestrzegają praworządności, czyli osobom, które wykorzystują unijne pieniądze w celu politycznego przekupstwa.

Innymi słowy Frans Timmermans przyjął lepszą strategię niż ta, którą realizuje Věra Jourová?

Wszystko jest kwestią wymagań i okoliczności. Frans Timmermans zatrzymał raport o zwalczaniu korupcji, co ilustruje ważną holenderską cechę, którą można dostrzec także w ich rządzie i ich postawach.

Holendrzy nie są hipokrytami. Jeśli czegoś nie da się zrobić, patrzą raczej realistycznie. O ile nie mogą udowodnić pewnych wyników opartych na dowodach, wolą raczej wydać pieniądze na rząd w kraju. Ursula von der Leyen była po prostu szantażowana podczas przesłuchań w sprawie jej prezydentury przez populistów, demagogów i ludzi, którzy myślą, że jeśli powiesz, że coś powinno się wydarzyć, to można to zrobić.

Powinien Pan zobaczyć dokumenty dotyczące korupcji publikowane w Parlamencie Europejskim. Podobnie jak w przypadku Luksemburga, nie mają one żadnego związku z rzeczywistością. Dzisiaj walka z korupcją stała się na powrót głównym tematem kampanii politycznych – inaczej niż 10 lat temu. Niektórzy politycy, w szczególności

Zieloni, są teraz na tej fali. Nie sędzę, że obchodzi ich, czy można to zrobić czy nie. Nie mówię jednak, że nakręcają sprawę korupcji w zlej wierze. Tylko nagłośnienie skandalu przez polityków sprawiło, że sprawa na Malcie została ponownie zbadana. To z kolei pomogło w Słowacji i w Rumunii.

Ale w tej chwili jest już za dużo hałasu w porównaniu z tym, co Unia może naprawdę zrobić. Dlatego musimy tutaj zarządzać zarówno oczekiwaniami, jak i możliwościami.

Oryginalny artykuł ukazał się w języku angielskim w „Visegrad Insight”.

ALINA MUNGIU-PIPPIDI – profesor nauk o demokracji w Hertie School w Berlinie i dyrektorka Europejskiego Centrum Badawczego do spraw Walki z Korupcją i Budowy Państwa (ERCAS), które wspiera OECD w opracowaniu dorocznego indeksu korupcji. Jej badania koncentrują się na polityce antykorupcyjnej i państwie prawa. Przewodzi Rumuńskiemu Towarzystwu Akademickiemu (SAR). Przez kilka lat była rumuńską korespondentką „Le Monde”.

WOJCIECH PRZYBYLSKI – redaktor naczelny „Visegrad Insight”. Prezes Fundacji Res Publica w Warszawie, wydawcy „Res Publici Nowej”.

JAROSŁAW GWIZDAK

SPOKOJNIE, TO TYLKO NAPAD

Europejskie sądy mają kolejny problem z Polską, a Polska wciąż ma problem z sądami. Wydają się nie zauważać go jednak polscy szeryfowie reformy sądownictwa.

Wyobraźmy sobie, że jest rok 2018. Nie ma pandemii, europejskie interesy kręcą się jak zwykle. Ringo i Yolanda (czyli Dziubasek i Misio-Pysio) – bohaterowie „Pulp Fiction” Quentina Tarantino, obywatele Hiszpanii napadają na knajpę w Madrycie. Ten rozbój się im udaje. Następnym krwawym przystankiem jest Barcelona. Potem jeszcze jeden napad w Mediolanie. Wsiadają do samochodu i jadą przez Europę. Bez granic, bez kontroli, bez ryzyka. Dobrze się bawią. Miły, przytulny hotel w Salzburgu, a potem dwa dni w Budapeszcie. Następnym celem jest Słowacja. Słowacka policja otrzymuje cynk, że w jednym z uroczych pensjonatów, w przemysłowej dzielnicy otoczonego górami miasta Ružomberok, ukrywają się przestępcy. Brygada antyterrorystyczna szybko zatrzymuje rabusiów. Słowacki sąd aresztuje ich na trzy miesiące. Po miesiącu hiszpański wymiar sprawiedliwości upomina się o swoich niesfornych obywateli. Na Słowację wysyła Europejski Nakaz Aresztowania (ENA).

O tym, że Unia Europejska opiera się na demokracji, praworządności i poszanowaniu godności człowieka słyszeliśmy i czytaliśmy już wiele razy. W praktyce, szereg unijnych instytucji prawnych to poszanowanie zapewnia. Jedną z nich jest właśnie europejski nakaz aresztowania. Na stronie internetowej Komisji Europejskiej czytamy,

że celem ENA jest „zapewnienie, by otwarte granice i swobodny przepływ w Unii nie były wykorzystywane przez osoby pragnące uniknąć wymiaru sprawiedliwości. Jest to najskuteczniejszy instrument współpracy sądowej w sprawach karnych w Unii”. Brzmi optymistycznie, ale wygląda na to, że kolejna, niezwykle cenna dla zapewnienia porządku i praworządności instytucja, w ciągu najbliższych kilku lat może przestać tak dobrze funkcjonować. Ktoś zaczął się właśnie bawić zapalkami.

„JEŚLI BAWISZ SIĘ ZAPALKAMI, TO SIĘ POPARZYSZ”

(Vincent Vega)

W 2015 r. Polska zaczęła bawić się nie tylko zapalkami w odniesieniu do wymiaru sprawiedliwości. Rządzący używali nawet pochodni czy koktajli Mołotowa, wrzucając je od czasu do czasu do budynków Sądu Najwyższego czy Trybunału Konstytucyjnego. Do systemu sądowego starano się włączyć swoiste ustrojowe fajerwerki. Wygaszanie mandatów członków Krajowej Rady Sądownictwa czy utworzenie Izby Dyscyplinarnej przy Sądzie Najwyższym, która nie może być uznana za sąd, zgodnie z orzeczeniem Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej z kwietnia 2020 r. Ciągłe zmiany i nowelizacje Prawa o ustroju sądów powszechnych, mające na celu ograniczenie ich niezależności. Wymiana prezesów niezawisłych sądów. Ustawa kagańcowa dla sędziów, zmuszająca ich pod groźbą postępowania dyscyplinarnego do ujawnienia przynależności do „stowarzyszeń i zrzeszeń”. I wtedy dobrze wyedukowani prawnicy, jakimi są sędziowie, ujawniają przynależność do związków wyznaniowych, wspólnot mieszkaniowych czy związku działkowców, bo pojęcie zrzeszenia nie ma prawnej definicji. A partii rządzącej chodziło tylko o ujawnienie sędziów, którzy w przeszłości należeli do PZPR i wylapanie aktywistów ze stowarzyszeń sędziowskich. Nałożony na sędziów obowiązek narusza nie tylko prawo do prywatności, ale rzecznikom dyscyplinarnym to w niczym nie przeszkadza.

Mniej więcej co kwartał polskie środowisko prawnicze elektryzują nowe informacje z Luksemburga. Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej orzekł, że przerywanie kadencji członków Krajowej Rady Sądownictwa narusza zasady państwa

prawa, czy że sędziowie Sądu Najwyższego nie mogą być przedwcześnie przenoszeni w stan spoczynku. Praktycznie żadna innowacja ustrojowa związana z sądownictwem nie przechodzi luksemburskiego testu. Opinia publiczna zazwyczaj słyszy, jak na konferencji prasowej niezrażeni przedstawiciele Ministerstwa Sprawiedliwości, odwracając uwagę od własnej nieudolności, straszą UE skutkami tolerancji wobec LGBT+ czy niedemokratyczną Holandią. Najwyraźniej brakuje autorefleksji. Co więcej, Ministerstwo Sprawiedliwości często zastępuje MSZ i przejmuje prowadzenie polityki zagranicznej. Głównie poprzez obrażanie innych krajów Unii Europejskiej.

„STRACIŁEŚ SWOJE PRAWA W LOS ANGELES”

(Marcellus Wallace)

Wróćmy do słowackiego sądu, który rozpatruje wniosek Hiszpanów o wydanie im sprawców, którzy mają stanąć przed sądem w Madrycie. Słowacki sędzia nie ma wątpliwości, że okrutni Hiszpanie, po powrocie do ojczyzny, staną przed odpowiednio powołanym sądem i czeka ich sprawiedliwy proces, z zagwarantowanym prawem do obrony. Sędzia podpisuje postanowienie, a kilka dni później samolot wiozący zloczyńców ląduje na lotnisku Barajas.

Kiedy w Madrycie rozpoczyna się proces, słowacki sędzia bierze udział w międzynarodowym szkoleniu dla sędziów zajmujących się ENA. Cały blok zajęć poświęcony jest najnowszemu orzecznictwu TSUE w sprawach dotyczących współpracy międzynarodowej. „Znowu będzie o naszym sąsiedzie, Polsce” – wzdycha zapewne jakaś sędzia Alžbeta Varga i nie myli się. Jest o czym dyskutować. W ostatnich latach polskie sprawy z ENA w tle zaczęły się pojawiać częściej. W art. 6 decyzji ramowej Rady UE z 13 czerwca 2002 r. w sprawie warunków wydawania osób między państwami członkowskimi ukrywa się niewinnie wyglądające zdanie: „Wydającym nakaz organem sądowym jest organ sądowy wydającego nakaz państwa członkowskiego, który jest właściwy do wydania europejskiego nakazu aresztowania na mocy prawa tego państwa”. Oznacza to, że taki organ sądowy jest przede wszystkim niezależny od władz i politycznych wpływów. Co mogło pójść nie tak? Poza skutecznością i jakością

współpracy sądowej, niepodważalną europejską wartością jest zachowanie prawa do obrony i rzetelnego procesu sądowego. Dlatego też od pewnego czasu TSUE – odpowiadając na pytania państw członkowskich – sygnalizuje możliwość odmowy wydania polskich obywateli, wobec których polskie sądy, obecnie w „zreformowanej” wersji, wydają ENA.

Pozdrowienia dla polskich władz można znaleźć regularnie w sentencjach orzeczeń Trybunału. Na przykład w wyroku z 20 grudnia 2020 r. (sprawy połączone C – 354/20 i 412/20, pkt 40): „W tych okolicznościach do każdego państwa członkowskiego należy – w celu zapewnienia pełnego stosowania zasad wzajemnego zaufania i wzajemnego uznawania, które leżą u podstaw funkcjonowania mechanizmu europejskiego nakazu aresztowania ustanowionego decyzją ramową 2002/584 – zapewnienie, z zastrzeżeniem ostatecznej kontroli ze strony Trybunału, ochrony niezawisłości jego sądownictwa poprzez powstrzymanie się od wszelkich środków mogących naruszyć tę niezawisłość”. Trybunał wskazał ponadto na konieczność dwustopniowej weryfikacji wniosków pochodzących z Polski, jak również z innych krajów, które mogłyby tylko pomyśleć o nadmiernej ingerencji w niezależność sądownictwa. W pierwszym etapie „organ sądowy wykonujący europejski nakaz aresztowania musi ustalić, czy istnieje obiektywny, wiarygodny, konkretny i odpowiednio zaktualizowany materiał wskazujący, że istnieje realne ryzyko naruszenia podstawowego prawa do rzetelnego procesu sądowego gwarantowanego przez art. 47 akapit drugi Karty (Praw Podstawowych), z powodu systemowych lub uogólnionych braków w zakresie niezawisłości sądownictwa wydającego nakaz państwa członkowskiego”.

Następnie „organ ten musi ustalić, w sposób konkretny i precyzyjny, w jakim stopniu braki te mogą mieć wpływ na poziom sądów tego państwa członkowskiego, które są właściwe dla postępowania, któremu będzie podlegać osoba, której dotyczy wniosek, i czy, biorąc pod uwagę jej sytuację osobistą, charakter przestępstwa, za które jest ścigana, oraz kontekst faktyczny, w którym wydano nakaz aresztowania, a także w świetle wszelkich informacji dostarczonych przez to państwo członkowskie zgodnie z art. 15 ust. 2 decyzji ramowej 2002/584, istnieją istotne podstawy, by sądzić, że osoba

ta będzie narażona na takie ryzyko, jeśli zostanie przekazana temu państwu członkowskiemu” (sprawy połączone C – 354/20 i 412/20, pkt 54,55).

Mimo skomplikowanego języka, można zauważyć, że znowu coś poszło nie tak. Mówiąc po ludzku: sąd, który musi zdecydować czy wydać obywatela innemu państwu członkowskiemu, dokonuje dwuetapowego badania wniosku innego sądu. Po pierwsze, zastanawia się nad realiami prawnymi państwa członkowskiego (tj. wszelkimi zagrożeniami dla praw podstawowych oskarżonego), a następnie nad potencjalnym przebiegiem procesu oskarżonego (tj. ryzykiem nieuczciwego procesu lub naruszenia prawa do obrony). Wtedy bierze pod uwagę wszystkie okoliczności osobiste oskarżonego oraz m.in. charakter przestępstwa i surowość kary. Po raz kolejny okazało się, że pewne zachowania w europejskim klubie dżentelmenów są nie do zaakceptowania.

„A TERAZ PÓJDĘ DO DOMU I TAM DOSTANĘ ZAWAŁU”

(Vincent Vega)

Negatywna weryfikacja powyższych przesłanek może skutkować odmową wykonania ENA i osłabić dotychczas wzorową współpracę między państwami członkowskimi. Paradoksalnie, niepowodzeniem mogą zakończyć się wszelkie działania koalicyjnego rządu Zjednoczonej Prawicy, który często uzasadnia je koniecznością walki z przestępcami, mafiami, złoczyńcami i skorumpowanym światem (oczywiście poza własnymi szeregami). Dopóki Polska jest w UE, dopóty działania szeryfów polegające na coraz większym podporządkowywaniu sobie sądów mogą skutkować bezkarnością osób, które po skazaniu w wyniku tych „reform” będą próbowały uciekać przed polskim wymiarem sprawiedliwości. Na to ryzyko zwracają uwagę regularnie sądy i wybitni teoretycy prawa.

Reformy zaczynają coraz więcej kosztować społeczeństwo i mogą przynieść skutek odwrotny do zamierzonego. Sądy w niektórych państwach członkowskich UE (Irlandia, Holandia, Włochy) są bliskie odmowy wykonywania ENA wydanych przez Polskę, co oznacza, że ze wspólnego europejskiego domu wyrywana jest kolejna cegła.

Nie jest to jeszcze katastrofa budowlana, ale poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa jego mieszkańców i wspólnego europejskiego dobrobytu.

W pewnym momencie lekceważenie wspólnych zobowiązań może postawić członkostwo Polski w Unii pod znakiem zapytania, podobnie jak manipulowanie przez inne kraje niezależnością sądownictwa. Otwartą kwestią jest również to, jak dokonane zmiany wpłyną na przyszłość Polski w Unii Europejskiej, do której nie można należeć tylko troszkę.

I nie tylko Vincent Vega może wtedy dostać zawału serca.

Tytuł, śródtytuły i inspiracja: „Pulp Fiction” w reżyserii Quentina Tarantino, polska wersja językowa – Elżbieta Gałązka-Salamon. Oryginalny artykuł ukazał się w języku angielskim w „Visegrad Insight”.

JAROSŁAW GWIZDAK – prawnik, działacz społeczny, były sędzia, członek zarządu Instytutu Prawa i Społeczeństwa.

DARIUSZ KAŁAN

CZAS ODEJŚĆ

W Polsce, gdzie 92 proc. obywateli deklaruje się jako katolicy, świętom narodowym towarzyszy msza, a krzyż wisi w wielu szkołach, apostazja do niedawna była rzadkością. Dziś to się zmienia.

Dla Michała Rogalskiego wiara katolicka znaczyła o wiele więcej niż niedzielne chodzenie do kościoła czy ubieranie choinki. Przeżywał ją i zgłębiał przez całe życie. Gdy miał cztery lata, za namową dziadka został ministrantem. – Lubilem przychodzić godzinę przed mszą, aby otworzyć kościół i mieć czas dla siebie. Nawet głęboko wierzący rodzice zniechęcali mnie do tego w obawie, że się przeziębę – opowiada Rogalski, trzydziestodwuletni tłumacz z Pomorza. – Jako jedenasto-dwunastolatek zastanawiałem się, jak w ogóle można nie być katolikiem. Sądziłem, że musi to wynikać z jakiejś ułomności moralnej, było to dla mnie głęboko nielogiczne – dodaje.

Później ten kościelny prymus napisał doktorat o modernizmie katolickim i przez rok brał udział w prenowicjacie. Planował wstąpić do dominikanów. Dziś zapytany, czy Bóg istnieje odpowiada – po chwili i z wahaniem: Byłoby miło, gdyby istniał. W lipcu miną dwa lata, od kiedy Rogalski dokonał apostazji, czyli aktu formalnego porzucenia religii, uważanego przez dogmę katolicką za ciężki grzech.

W jego przypadku, odchodzenie od Kościoła i wiary było rozłożone na lata. – W pewnym momencie Kościół, który wcześniej był dla mnie przestrzenią bezpieczną i rozwijającą intelektualnie, stał się miejscem obcym. Zauważyłem, że w życiu księży i zakonników nie ma nic wyjątkowego, że to ludzie ze słabościami, jak wszyscy. A dodatkowo struktura hierarchiczna Kościoła wplątuje ludzi w układy, które mi się nie podobały – mówi.

Jednak tym, co ostatecznie przeważało szalę na rzecz apostazji, były doniesienia o skali przestępstw seksualnych popełnianych przez duchownych i bliskie związki Kościoła z Prawem i Sprawiedliwością. – Nie chcę, żeby do mnie, jako osoby uważanej przez wielu za katolika, przyklejały się te wszystkie obrzydliwe rzeczy z życia społecznego i politycznego. Po apostazji przeżyłem coś na kształt długiej żałoby. Całe życie uważałem przecież katolicyzm za jedyny opis prawdy o świecie – tłumaczy Rogalski. Dziś określa siebie mianem agnostyka.

*

Instytut Statystyki Kościoła Katolickiego przestał badać zjawisko apostazji w 2010 r., kiedy zarejestrowano zaledwie 459 apostatów na 32,5 miliona ochrzczonych. Teraz, zaalarmowany sygnałami o wzroście liczby osób odchodzących z Kościoła, Instytut chce znowu zbierać i analizować te dane. – W dużej mierze zależy to jednak od tego, czy dostaniemy na to grant i czy diecezje udostępnią nam statystyki – mówi ks. Wojciech Sadłoń, dyrektor Instytutu.

Niektóre sygnały uchwycił CBOS. Jego raport z połowy grudnia 2020 r. mówi, że stosunek 47 proc. respondentów do Kościoła jest negatywny. Pozytywne nastawienie przejawia z kolei 41 proc. ankietowanych. Po raz pierwszy od 1993 r. krytycy Kościoła znaleźli się zatem w większości. Dodatkowo sondaż IBRIS-u z listopada 2020 r. pokazuje, że wśród osób między 18. a 29. rokiem życia, tylko 9 proc. patrzy na Kościół z sympatią.

Według Piotra Sikory – teologa i filozofa wynika to z tego, że w okresie podziałów i napięć politycznych Kościół otwarcie zaangażował się po jednej stronie konfliktu. – Księża w małych parafiach jeszcze bardziej demonstracyjnie popierają PiS

niż biskupi. Problemy z księżmi-krzywdzicielami też dotyczą raczej poziomu lokalnego, także tych, którzy nie widzieli i nie reagowali. To może być powodem dystansowania się od życia w Kościele jako wspólnocie – komentuje Sikora.

Kościół od lat pomaga PiS-owi mobilizować elektorat na prowincji, nierzadko otwarcie wspierając tę partię przed wyborami i udostępniając miejsca na ambonach jej politykom. Z tego przywileju korzystali m.in. Marek Suski, Jadwiga Emilewicz, a ostatnio Jarosław Kaczyński. Kler stał się też kluczowym stronnikiem PiS-u w atakach na społeczność LGBTQ w czasie wszystkich kampanii wyborczych od 2019 r. W zamian może liczyć na utrzymanie dotychczasowych przywilejów, dotacje z programów rządowych oraz wpływ na prawo, edukację i kulturę.

Sikora sugeruje, że kluczowe znaczenie ma milczenie duchownych, którzy nie zgadzają się z obecnym kursem: Jak się popatrzy na episkopat, to zaangażowanych politycznie biskupów nie jest wielu. Są oni jednak głośni, a ich słowa podchwytyją media. Reszty nie słyhać, bo istnieje niepisana reguła, żeby nie krytykować się nawzajem publicznie. Zwykle więc wybrzmiewa tylko jeden, bardziej radykalny głos.

*

Po 1989 r. wszystkie partie dbały o dobre relacje z Kościołem, a ten wykorzystywał to, skutecznie domagając się m.in. zwrotu majątku zrabowanego przez komunistów, zwolnień z niektórych podatków, a także włączenia religii do edukacji w szkołach publicznych i zaostrzenia prawa aborcyjnego. – Jednak za czasów PiS-u, doszliśmy do absolutnego klinczu. Kościół już nie jest zainteresowany nauczaniem Jezusa, a tylko polityką i pieniędzmi – twierdzi Agata Diduszko-Zyglewska, lewicowa aktywistka, jedna z założycielek „Licznika Apostazji” – strony internetowej skupiającej osoby, które odeszły z Kościoła. Pod koniec lutego 2021 r. ich liczba przekroczyła 2000. – Hierarchowie próbują doprowadzić do sytuacji, w której co prawda wierni znikną, ale oni nie będą ich potrzebowali, bo do tego czasu Kościół drapieżnie wplecie się we wszystkie sfery życia i państwa – mówi Diduszko-Zyglewska.

Ona sama odeszła z Kościoła w 2018 r., ale dla wielu wiernych to właśnie 2020 r. okazał się punktem zwrotnym. Dwa filmy dokumentalne: *Zabawa w chowanego* braci

Sekielskich i *Don Stanislao. Druga twarz kardynała Dziwisza* Marcina Gutowskiego obnażyły nieuczciwe praktyki hierarchów, którzy starali się chronić podejrzanych o przestępstwa seksualne, a nie ich ofiary. Natomiast zaostrzenie przepisów prawa aborcyjnego jesienią, zdaniem Diduszko-Zyglewskiej, obnażyło skalę ingerencji Kościoła w prywatne życie obywateli, skutkując największymi demonstracjami ulicznymi od upadku komunizmu. – Zrobili o jeden krok za daleko. Ludzie wreszcie zobaczyli, jak skorumpowany i niemoralny jest Kościół katolicki w Polsce – przekonuje aktywistka.

*

W celu dokonania apostazji, trzeba stawić się osobiście w parafii w miejscu zamieszkania z aktem chrztu, dowodem osobistym i trzema podpisanymi kopiami deklaracji odejścia z Kościoła wraz z uzasadnieniem. Dla Rogalskiego było to doświadczenie zarówno nieprzyjemne, jak i zabawne. – Ksiądz nie mógł znaleźć w księdze mojej daty chrztu. Zaczął mi wmawiać, że się pomyliłem. Do pomocy wbiegła siostra, która starała się na mnie nie patrzeć. Nawet rękę trzymała przy oczach. Sam musiałem pokazać mu tę datę – wspomina Rogalski. Jego proboszcz pomyślał zaś, że urodziło mu się dziecko i chce je ochrzcić. – Miałem poczucie jakiegoś gorzkiego triumfu – świat katolicki w ogóle mnie nie rozumie. Bo proboszcz, który powinien teoretycznie mnie znać, nie dostrzegł nawet, że przez rok nie było mnie w kościele – komentuje Rogalski.

W jednej z warszawskich parafii, proszący o zachowanie anonimowości wikary, mówi, że do niedawna zdarzała się u niego maksymalnie jedna apostazja rocznie. A i to od wielkiego dzwonu. Ostatniej zimy dochodziło do trzech tygodniowo. – W jednym przypadku mężczyzna napisał, że jego światopogląd nie zgadza się z nauczaniem Kościoła i od razu uciął, że już nic mam mu nie wmawiać. Uszanowałem to. Dla nas każdy taki przypadek to tragedia, ponieważ człowiek odcina się od źródła zbawienia. Ja osobiście uważam to za coś strasznego – mówi ksiądz.

Zapytany o polityczne zaangażowanie niektórych hierarchów i afery pedofilskie, stwierdza: Na pewno nie jest to przyjemne i obojętne... Po filmie Sekielskich obawiałem

się wyjść na ulicę, bo księża zostali wrzuceni do jednego worka. Szkoda, że Kościół zwykle redukuje się do hierarchów... Ksiądz przyznaje, że kilka razy został nazwany „pedofilem”. Między innymi przez niedoszłego ojca chrzestnego, któremu odmówił wydania zaświadczenia, bo, oprócz tego, że został ochrzczony, nie miał związków z Kościołem.

– Ludzie, którzy nie mają argumentów, wyciągają rzeczy, które noszą głęboko w sobie. Chcę zrozumieć ich ból i niezgodę. Ale jak się wyjdzie z Kościoła, traci się możliwość, aby coś zmienić. Dzięki apostazjom Kościół nie stanie się lepszy – twierdzi ksiądz.

Oryginalna wersja artykułu ukazała się po angielsku w portalu BIRN Reporting Democracy.

DARIUSZ KAŁAN – dziennikarz i analityk. Współpracuje m.in. z „Tygodnikiem Powszechnym” i „Polityką”. W latach 2012–2016 pracował w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych.

REDAKTOR NACZELNY Marcin Zaborowski

REDAKTOR PROWADZĄCY
NUMERU Dominika Rafalska

ZESPÓŁ REDAKCYJNY Dominika Rafalska (Wywiady), Spasimir Domaradzki (sprawy międzynarodowe), Galan Dall (Visegrad Insight), Magdalena Jakubowska (#WomenAreNATO), Tomasz Kasprowicz (Ekonomia), Quincy Cloet (Visegrad Insight), Wojciech Przybylski (Europa), Maria Ciupka, Kamil Jarończyk

REDAKCJA JĘZYKOWA, KOREKTA Dominka Rafalska

WYDAWCA Fundacja Res Publica im. H. Krzeczkowskiego

REDAKCJA Res Publica Nowa
ul. Gałczyńskiego 5
00-362 Warszawa,
tel.: +48 22 692 47 84,
e-mail: redakcja@res.publica.pl
facebook: Res Publica Nowa
twitter: @respublicanowa
www.publica.pl

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA KULTURY I DZIEDZICTWA
NARODOWEGO

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

WSPIERAJ RES PUBLIKĘ:

- PRZEKAZUJĄC STAŁĄ LUB JEDNORAZOWĄ DAROWIZNĘ NA KONTO:
59 2490 0005 0000 4520 7698 5723
- KUPUJĄC PUBLIKACJE W NASZEJ KSIĘGARNI – WWW.PUBLICA.PL/SKLEP

respublica
DAJE DO MYŚLENIA